

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM

WARSZAWA, ŚRODA 7 CZERWCA 1933 ROKU Nr. 40/41

# PIŁOMYK

tygodnik ilustrowany  
dla dzieci i młodzieży



LAS



## TAJEMNICA OGRÓDKA.

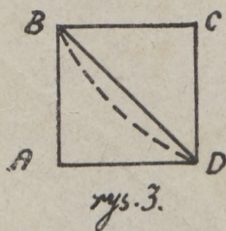
Dalej, widzimy, że idąc wciąż naprzód, musimy przejść przez każdy kąt, t. j. przyjść do niego jedną ścieżką, a wyjść inną. Zapamiętajmy zatem, że na każde przejście przez kąt musimy mieć dwie ścieżki: jedną wejściową, a drugą — wyjściową. Jeżeli jednej ścieżki nam zabraknie — a zabraknąć może tylko wychodowej (dlaczego?) wówczas przez kąt nie przejdziemy, ale w nim staniemy i skończymy tam podróż?

Przechodźmy teraz przez kąty.

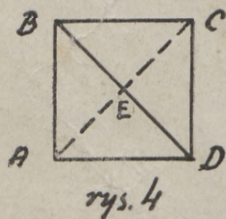
Przed przejściem przez kąt *parzysty* mamy w nim dwie wolne ścieżki; po naszym wyjściu z kąta ścieżki te będą już zamknięte. To znaczy, że iść po nich już nie możemy, a przeto i do kąta więcej nie wrócimy.

Przed przejściem przez kąt *nieparzysty* mamy w nim trzy wolne ścieżki. Przechodząc możemy zużyć tylko dwie, zatem po wyjściu naszym z kąta będziemy w nim mieli: dwie ścieżki zamknięte i jedną wolną. Zamkniętymi ścieżkami już więcej nie pójdziemy, ale wolną ścieżką będziemy musieli jeszcze wrócić (dlaczego?) do kąta, poczem wszystkie ścieżki w kącie będą zamknięte i na wyjście z niego nie będziemy mieli już żadnej ścieżki. Zatem będziemy musieli w nim stanąć.

Z tego widzimy, czem się różni parzysty kąt od nieparzystego: przez parzysty kąt przejdziemy zawsze bez przeszkody, a w nieparzystym kącie, chociaż go i przejdziemy, ostatecznie jednak zawsze musimy utknąć z braku wyjścia z niego.



rys. 3.



rys. 4

Gdyby wszystkie kąty w naszym ogródku stały się parzyste — np. przez skasowanie ukośnej ścieżki (rys. 2) — wówczas przez wszystkie kąty przeszlibyśmy bez przeszkody, powrócilibyśmy do początkowego kąta i rozwiązalibyśmy zadanie, zaczynając z jakiegokolwiek kąta (sprawdzić). Ponieważ jednak mamy dwa kąty nieparzyste: B i D, więc w którymś z nich, jak już wiemy, musimy utknąć. I rzeczywiście: Staś zaczął podróż od A, t. j. od parzystego kąta, a Zosia od D, t. j. od nieparzystego kąta; Staś nie przeszedł wszystkich ścieżek i nie mógł wrócić do swego kąta, i Zosia, chociaż przeszła wszystkie ścieżki, jednak też nie wróciła tam, skąd wyszła — i oboje utknęli w kącie B. Stało się to, jak sobie przypominamy, dlatego, że obydwom zabrakło ścieżki do wyjścia z B.

Ścieżka taka — gdyby istniała — wyprowadziłaby nas z kąta B (rys. 3, linia przerywana), jednak wówczas kąty B i D obróciłyby się w parzyste (ilość ścieżek w nich 4 — liczba parzystych) i nieparzystych kątów jużbyśmy nie mieli. Byłby więc znów wypadek, kiedy wszystkie kąty są parzyste.

Gdyby jednak dodatkowa ścieżka biegła inaczej, tak jak na rys. 4 (linia przerywana), wówczas nie wyprowadzałaby ona nas z kąta B, w którym utknęliśmy i, nie mając z niego wyjścia, nie moglibyśmy też przejść i tej dodatkowej ścieżki.

W tym wypadku mielibyśmy nieparzyste cztery kąty: A, B, C i D i tylko kąt E byłby parzystym. Z tego widzimy, że kiedy mamy nieparzystych kątów więcej niż dwa, zadanie jest zupełnie nierozwiązalne.

Teraz jest jasnym, że tajemnica nasza kryje się w kątach, gdyż rozwiązanie zadania zależy wyłącznie od tego, jakie będą te kąty, i już wiemy, że: 1) jeżeli wszystkie kąty będą parzyste, zadanie się rozwiązuje zupełnie, 2) jeżeli dwa kąty nieparzyste — zadanie rozwiązuje się częściowo i 3) jeżeli kątów nieparzystych jest więcej jak dwa, zadanie wcale się nie rozwiązuje.

*Dokończenie nastąpi.*





# PŁOMYK

TYGODNIK · ILUSTROWANY  
DLA · DZIECI · I · MŁODZIEŻY

Numer niniejszy wydajemy z podwójną numeracją i w podwójnej objętości. Następny numer również zamiast 24 stron będzie miał 48. W ten sposób nasi Czytelnicy, mimo skróconego roku szkolnego, otrzymają normalną liczbę numerów „Płomyka”.

## JANEK ORGANIZUJE „DZIEŃ SPÓŁDZIELCZOŚCI”.

W Szarej Woli, w szkole od kilku dni żywa krzątanina. Młodzież organizuje „Dzień Spółdzielczości”. Projekt obchodu rzucił namyślny nasz z Nr. 31 „Płomyka”, Janek, brat nauczyciela.

Cała szkoła jest projektem poruszona. Nawet najmłodsze klasy mają swój przydział: robią chorągiewki z bibułki o barwach tęczy. Po lekcjach gwar, hałas. Dziewczęta wiją wieńce ze świerczyny, stroją szkołę w wycinanki, chłopcy zawieszają girlandy, z rozmachem przybijają odezwy, plakaty, portrety znakomitych polskich spółdzielców, więc Edwarda Abramowskiego, Romualda Mielczarskiego, Edwarda Milewskiego, Stanisława Wojciechowskiego. Orkiestra szkolna ćwiczy się godzinami, wygrywając nowe i stare melodje. Tak zwane „sławy szkolne” powtarzają deklamacje, które mają wypowiedzieć na wieczornej uroczystości. Wesole śmiechy, chichoty, czasem ostre słowo kłótni lub zatroskania. Młodość aż huczy w obrębie małego domku szkoły.

Obchód sam odbędzie się w niedzielę. Wóz drabiniasty, umajony zielenią, jechać będzie przez wieś, rozrzucając odezwy przy dźwiękach orkiestry. Po południu będą zawody piłkarskie, biegi z przeszkodami, skoki wywyż z tyczką i inne popisy. Wieczorem nauczyciel przyobiecał wygłosić pogadankę o spółdzielczości, ilustrowaną przezrociami.

Całość zapowiada się „czarująco”, „cudownie”, „pięknie” — jak twierdzą dziewczęta. — Byczo będzie! — wykrzykują chłopcy.

Janek, który stoi na czele komitetu organizacyjnego i jest głównym autorem całego programu, mówi do siebie:

— Wieczorem, po pogadance i muzyce powinny być żywe obrady, to byłoby dobre zakończenie, ale co tu dać? Żaden pomysł mi nie przychodzi.

Wciąż głowi się biedny Janek, leżąc na miękkiej murawie, pod cieniem rozłożystej jarzębiny. Ze szkoły, zoddali dochodzi doń zmieszany gwar.





— Przecież nie dam jakichś czterech pór roku — myśli chłopak. Lecz co to widzi Janek? Z ciemnej ściany lasu odrywa się jakiś długi sznur. Poznaje. Sznur dzieci. Trzymają się za ręce, suną w stronę Janka. Dzieci to niby ze szkoły, ale jakieś inne. Sznur ich długi, wychodzą z lasu wciąż nowe, zda się bez końca. Z nad lasu, górą sunie obłok zwiewny, przejrzysty, zniża się ku dzieciom, półkolem je otacza, zamyka. Obłok rozbłyska teraz wszystkimi kolorami tęczy. Tęcza ta sunie nad głowami dzieci, które wpatrzone w nią, jakby oczarowane, trzymają się wciąż za ręce, tworząc koło niezwykle barwne. Wiele dzieci jest w sukienkach, kierezjach krakowskich, dziewczęta w gorscikach, paciorkach, kolorowe wstążki tylko furkają koło nich. Tam znowuż jakieś murzyniátko, tutaj Japoneczka w kwiecistym kimonie, mała, żółta, skośnooka Chinka, Turek w fezie, czerwonoskóry Indjanin, Eskimosik w futerku. Wszystkie narody, wszystkie rasy świata całego suną radośnie roztańczone, rozśpiewane, a nad nimi znak tęczowy. Naraz ze wszystkich piersi buchnie śpiew: „Hej, ramię do ramienia, wspólnymi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko...”

\*

— Aleś spał... — A tak czegoś mrucał. — I rękami śmiesznie machał...

Ogląda się Janek. Przy nim Tomek Soja, Edek Stępień i inni. Szybko oprzytomniał, a po chwili rzekł:

— Miałem niezwykle sen. Widziałem świat cały piękny, przeobrażony, radosny i zbratany przez spółdzielczość. Będzie to nasz żywy obraz, a tytuł jego: „Świat pod tęczową banderą”.

Sztandar o barwach tęczowych jest uznany przez spółdzielców wszystkich krajów za wspólny sztandar spółdzielczy. Szkoda tylko, że obraz żywy nie może być tak piękny, jak ten, widziany we śnie.

*Wacława Kiślańska.*

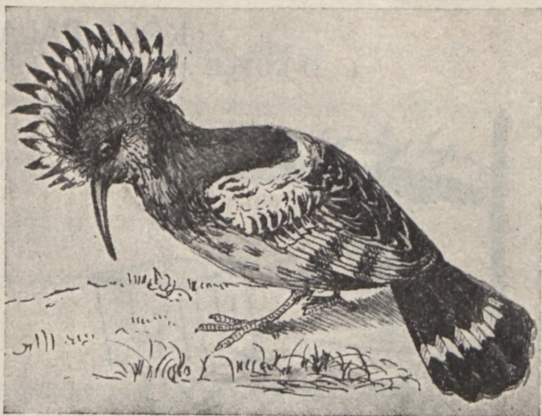
## D U D E K.

Jak wspomnienie dawno minionych czasów, długich peruk, barwnych strojów i przesadnie wytwornych ruchów wygląda d u d e k, gdy napuszony zatacza kręgi nad polanką i, rozkładając wspaniały wachlarz czuba, kroczy z zabawną powagą. Istne zjawisko miniaturowego markiza! I przedziwnie uroczyste ruchy i bogate upierzenie tego ptaka nasuwają nam to porównanie. Nic miłszego, jak ukryć się przed palącymi promieniami słońca w dobroczynnym cieniu jakiegoś krzaka na podłej łące i obserwować życie tej zabawnej figurki. Naturalnie cisza musi być zupełna, bo to bardzo płochliwy gość. Jedynie głosy przyrody, takie, jak brzęk muszek, bzykanie komarów i buczenie trzmieli i chrząszczy nie wyprowadzają go z równowagi.

Z godnością, powoli, przyczem nieustannie kiwając swą czubatą główką, spaceruje właśnie po łące, możemy mu się więc przypatrzeć do-



woli. Wszystko w nim jest uderzające: długi, lekko wygięty dziób, mała główka z pióropuszem rdzawych, czarno na końcach znaczonych piór, zbyt krótkie nóżki, ozdobiony białą wstęgą czarny ogon, wkońcu cała szata upierzenia, na grzbiecie płowa, po bokach czarna, żółtawo prążkowana a na brzuszku żółta w czarne plamki.



DUDEK.

Samiczka, która od samczyka różni się tylko brudniejszym upierzeniem, siedzi na gałęzi pobliskiego drzewa obok zamieszkałej przez młodą parę dziupli. Ma spuszczonego dziób i zdaje się z przyjemnością wsłuchiwać w monotonne „hup! hup!”, które jej małżonek wydaje od czasu do czasu na polance.

Zaszeleściła nagle jakaś spadająca gałązka i nasz dudek natychmiast rozpląszcza się na ziemi, rozkłada ogon i skrzydła, przechyla głowę i mierzy dziobem prosto w górę, w niewidzialnego nieprzyjaciela.

W tej postawie pozostaje tak długo, dopóki niebezpieczeństwo nie minie, albo dopóki nie przekona się, że się niepotrzebnie przestraszył.

Wszystko to ma na celu ochronę przez groźny wygląd, zbyt słaby ma bowiem dziób, by się nim mógł skutecznie w walce z innym ptakiem obronić, i zbyt tępe skrzydła do szybkiej ucieczki. Zna on te swoje wady i jest specjalnie trwożliwy i nerwowy, boi się wszystkiego, nawet lecąca jaskółka potrafi go wyprowadzić z równowagi.

Ulubionymi miejscami pobytu dudka są zalesione równiny i grupy drzew w pobliżu łąk lub pastwisk, gdzie można znaleźć wygodną dziuplę na gniazdo i obfitego much i chrząszczy na pożywienie. Muchy łapie on w locie i przelyka od razu, z chrząszczami jednak ma więcej roboty. Najpierw tłucze je dziobem na ziemi, aż twarde pokrywy i nogi odpadną, a potem pozostałe miękkie części tułowia podrzuca do góry i łapie w powietrzu. Nie jest to zła zabawa, tylko konieczność, bo dudek ma język tak krótki, że nie może dostać do końca swego długiego dzioba.

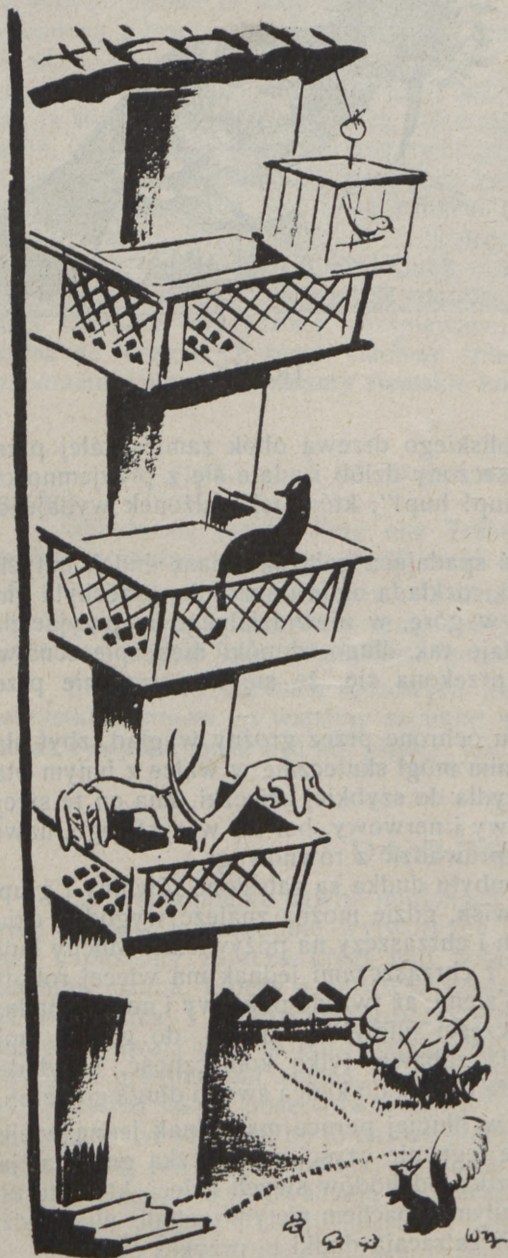
Nasz wytworny markiz w długiej peruce ma jednak jedną wielką i brzydką wadę; oto w porze lęgu nie czyści z samiczką gniazda, jak to czynią inne ptaki i nie wyrzuca odchodów swych dzieci, które to odchody, gnijąc, przenikają niemiłym zapachem nie tylko młode, ale i rodziców. Dopiero czasem, powoli zatracają dudki tę przykrą perfumę.

Janina Rybczyńska.



## KOCI PAŁAC.

## I. O KOTCE AKSAMITCE I JEJ LOKATORACH.



Za miastem zieleniło się pole. Na tem polu rozsiadł się pysznie dom. Przed domem wyciągnął się kawałek trawnika. Kwitły na nim blade kwiatki. Wiatr je tu zasiał. Kwitły i cieszyły ludzi. Dom miał trzy wielkie piętra. A na każdym piętrze, jak wianuszek, zawieszono balkon. Był to bardzo dziwny dom. Zupełnie inny, niż te, co w mieście stoją rządkiem. Nie widać było w nim wcale ludzi. Wszyscy wczesnym rankiem do pracy wychodzili. Dom zostawał pusty. I wtedy dopiero zaczynało wszystko w tym domu żyć.

Właścicielką domu była pani z drugiego piętra. Od rana jechała autem do szpitala, w którym leczyła chore dzieci. W jej zastępstwie rządziła domem czarna kotka. Zarozumiała, samolubna i fałszywa. Na imię miała Aksamitka. Chodziła w czarnej, aksamitnej sukni. Stała się delikatnie. Nie lubiła wilgoci. Białe pantofelki miała zawsze czyściutkie. Rano, po wyjściu swej pani, mizdrzyła się do lustra.

Przeginała się i gładziła łapką aksamitny pyszczek. Oblizywała wąsy z mleka. Potem lekkim, aksamitnym susem skakała na balkon. Tu kładła się na słońcu. Wyciągała łapki wtył, jak młody zajączek. Drzemała.

Ciszę przecinał świergot kanarka z trzeciego pię-



tra. Piórka miał całkiem żółte, jakby przed chwilą wpadł do jajecznicy.

Kotka zgrzytała ostremi ząbkami. Jakby ostrzyła scyzoryk o porcelanowy kałamarz.

Kanarek nazywał się Pikuś. Wystawiał dziobek za kratki i udawał, że śpiewa pieśni do kotki.

Kotka kręciła groźnie nosem i mruzczała: — Ja tego kanarrka schrrrupię jak sucharrka!

Kanarek skakał na swych pręcikach i śpiewał cieniutko:

— Wiju, wiju, wiju, wiju!  
Dobrze tutaj mi na kiju.

Nie wyfrunę ja na schodki,  
by wpaść w ząbki czarnej kotki!

I przechylał główkę, jak grudkę jajecznicy, na pierwsze piętro.

Tu cwałowały po balkonie dwa jamniki. Były bronzowe, jak skórka od chleba. Miały krzywe, krótkie nogi. Wachlowały je długimi uszami.

Aksamitka pogardzała psami. Każda kotka niecierpi psów. A jamniki wypłaszały z domu myszy. A kotka chętnie na deser schrupałaby myszkę. Pieski nazywały się: Kłapouszek i Krzywonózek. Były to młode psiaki i miały pstro w głowie. Uważały się za wielkich elegantów. Przymiły się bezczelnie do rudej wiewiórki z parteru.

Dom ten nazywano „Kocim Pałacem”. Kotka była panią na swych śmieciach.

Nie przyjaźniła się z innymi zwierzętami. O wiewiórkę była zazdrosna.

— Patrzcie! — mruzczała niechętnie na widok wiewiórki Gryzuni — chyba z cyrku uciekła! Jak się to zaleca do tych dwóch smarkaczy z pierwszego piętra!

Gryzunia drwiła z jej staroświeckich gderań. Szczerzyła do wszystkich białe ząbki. Błyskała czarnymi szpileczkami oczu. Przy Aksamitce wachlowała się ogonem. Miała piękny, puszysty, złotorudy.

— Pewnie wpadła do wiaderka z farbą. Umalowała sobie kudły — syczała kotka zaciekle. — Każda uczciwa kobieta ma sierść czarną. Od rana do nocy wylizywałabym się z tego rudego koloru!

Gryzunia lubiła Pikusia, Krzywonóżka i Kłapouszka.

Aksamitkę szanowano jednak.

Jej pani była najbogatsza. Rzuciła nieraz braciszkom pieskom skórki z wędliny. Gryzuni dała prawdziwy orzech laskowy.

Aż ją wiewiórka z radości w palec ugryzła.

Kotka siedziała sama na balkonie. Gorszyła się wszystkim. Wieczorem coś dudniło, prychało i parskało, jak koń zakatarzony. To było auto.

Aksamitka nastawiała trójkatne uszka. Potem, jak miękka kula, rzucała się do drzwi.

Wchodziła pani. Pachniała szpitalem i gorączką. Kotka zbierała ten zapach w swój czarny nosek. Łebkiem ścierała pot ze zmęczonej twarzy. Potem wymrukiwała wszystkie plotki z całego domu:



Krzywonózek podskoczył za Gryzunią. Chciał ją szelma za ogon złapać. Palnął się w pysk o sztachetki balkonu. Skamlał, aż wstyd, przez godzinę. Potem cały dzień chodził z krzywym pyskiem.

Pikuś wyfrunął z zamkniętej klatki. Wpadł do kałamarka z atramentem. Udawał potem niebieskiego ptaszka. A piórka miał zielone! Kłapouszek pogryzł przez pomyłkę pierzynę. Pierze rozleciało się po pokoju. Jego pani wróciła do domu. Myślała, że to śnieg pada. Kazała znieść ze strychu dziecinne saneczki.

Po tych opowiadaniach Aksamitka i jej pani jadły kolację.

Prymus syczał i czerwienił się. Woda bełkotała, jak języczek w buzi. Po kolacji pani kładła się do łóżka. Aksamitka wskakiwała na fotel. Dnie w „Kocim Pałacu” były wszystkie jednakie.

## II. O MYDLINCE — MICHALINCE.

Kotka siedziała, jak zwykle na balkonie. Zaczęła swoje deklamacje do złotego kanarka! Miała na niego apetyt. Aż tu nagle słyhać jakiś głosik! Ale nie był to pisk Gryzuni. Pieski też bawiły się spokojnie. Kotka z ciekawości mało nie spadła z drugiego piętra.

Na trawniku przed domem siedziała mała dziewczynka.

Wygrzebywała paluszkami kwiatki z ziemi. Przytykała je do buzi i całowała. Sukienkę miała pozszywaną ze strzępków pajęczyny. Włoski żółte, jak piórka kanarka. Oczka, jak wiewiórka Gryzunia. Nóżki, trochę krzywe, jak pieski jamniki.

— Tylko do mnie nie podobna! — mruknęła z godnością kotka.

W domu podniósł się hałas. Wszyscy od lat w tym domu mieszkali. Nie lubili się, lecz przywykli do siebie. Aksamitkę szanowano. Pikusia słuchano, gdy śpiewał. Gryzunię podziwiano. Piesków się bano, bo miały ostre kły. Ale jedno drugiemu krzywdy nie czyniło. Dbali o spokój domu. Teraz zagniewali się ogromnie. Postanowili zebrać się wszyscy. Wyrzucić z domu nieproszonego gościa.

— Niecierpię dzieci — synęła kotka, — przerywają sen i wypijają mleko.

— Szarpią za uszy i wrywają kości — warknęły jamniki.

— Już ja ją podrapię! — pisnęła Gryzunia. — Niech tylko zechce odebrać mi orzech laskowy.

Tylko Pikuś czuł się bezpieczny w swej klatce.

Dziewczynka była córeczką praczki. Tatus był bezrobotny. Mamusia prała po domach. Tatus poszedł do miasta szukać roboty. Mamusia poszła prać cudzą bieliznę. Dziewczyna mieszkała w suterynie. Całe życie widziała tylko brudy i mydliny. Ten skrawek zieleni przed domem, wydał się jej rajskim ogrodem. Każda dziewczynka jest ciekawa. Ona też chciała wiedzieć, co jest w tym wielkim domu. Podreptała do sieni.

— Zaprowadzimy cię na drugie piętro — powiedziały jej schody. — Jest winda, ale ona biednych dzieci wozić nie chce! A ty musisz poznać panią tego Pałacu.





Skrobała Aksamitkę pod szyjką.

— Prosimy! — zaskrzypiały drzwi w zawiasach.

Dziewczynka wsunęła się nieśmiało do pokoju. Podłoga taka śliska! Jak lód w zimie na kałuży. Przewróciła się i na czworakach do balkonu popezła.

Kotka skoczyła. Dziewczynka wyciągnęła ku niej brudną rączkę. Aksamitka przyglądała w tej chwili swe lśniące wąsy.

Aksamitna sierść zjeżyła się. Jak szczotka, którą się pani codziennie czesała. Chciała coś powiedzieć. Tylko syk, pełen jadu, wydobył się z pyszczka.

— Kiziu - miziu! — odezwała się dziewczynka najczulszym głosikiem.

Było tyle dobroci w czarnych oczach dziewczynki! Aż czarna Aksamitka zawstydziła się swej złości.

Dziewczynka pocałowała ją w główkę. Tak było przyjemnie trzymać kotkę w objęciach. Była ciepła, aksamitna i biło jej serduszko.



Dziewczynka chciałaby dać coś Aksamitce. Ale nie miała nic! Była dzieckiem nędzarzy. Mogła rozdawać tylko pocałunki i uśmiechy. Skrobała Aksamitkę pod szyjkę. Nikt, nigdy nie pieścił samotnej kotki. Nikt nie miał dla niej czasu. Aż zdziczała i stała się złą. Ale teraz zmieniła się dla dziecka.

— Jak się nazywasz? — zapytała dobrotliwie.

— Mydlinka - Michalinka! — roześmiało się dziecko. I milutko zaśpiewała:

— Dla dziewczynki, Michalinki  
codzień pienią się mydlinki.

Balja z mydłem wcześniej wstają,  
na śniadanie zarabiają!

Tak śpiewała Mydlinka - Michalinka.

Aż Pikuś począł przeciągle trelować w swej klatce. Myślał, że drugiemu kanarkowi odpowiada.

— Przyszłam powitać panią tego „Pałacu”! — mówi Mydlinka i kłania się krzywą nóżką.

Aksamitka chętnie ucałowałaaby dziewczynkę. Ale wstydziła się trochę kanarka. Wyciągnęła tylko miękką łapkę i pogłaskała dziewczynkę po buzi. Potem noskiem wysunęła z kąta niedopitą szklankę mleczka. Podsunęła łapką ku dziewczynce.

Aż się oczka Michalinie roześmiały. Buzia mlasnęła:

— Dobre mleczko masz, koteczko!

Wtem ktoś do drzwi buch! buch! łbem wali. To Krzywonożek z Kłapouszkiem. Z ciekawości nie mogli już kości gryźć. Bo w domu był telefon. Szary pajak spuszczał się na pajęczynie i wszystkim opowiadał. Braciszkwowie ubrali się starannie. Wygladzili łapą gładką sierść i wylizali uszy do czystości.

Szczeknęli radośnie i rzucili się ku Mydlince.

Zaczęli tarzać się ze śmiechu po balkonie. Tyle wrzasku! Tyle piskul!

Pikuś w klatce aż płakał z zazdrości. Nawet Gryzunia z parteru wdrapała się na drugie piętro. Przyglądała się ciekawie dziewczynce. Dziewczynka spodobała się jej bardzo. Wiewiórka dała jej kawałek nadgrzียนego cukru.

Mydlinka pół zjadła a resztę schowała.

I zaśpiewała cieniej od Pikusia:

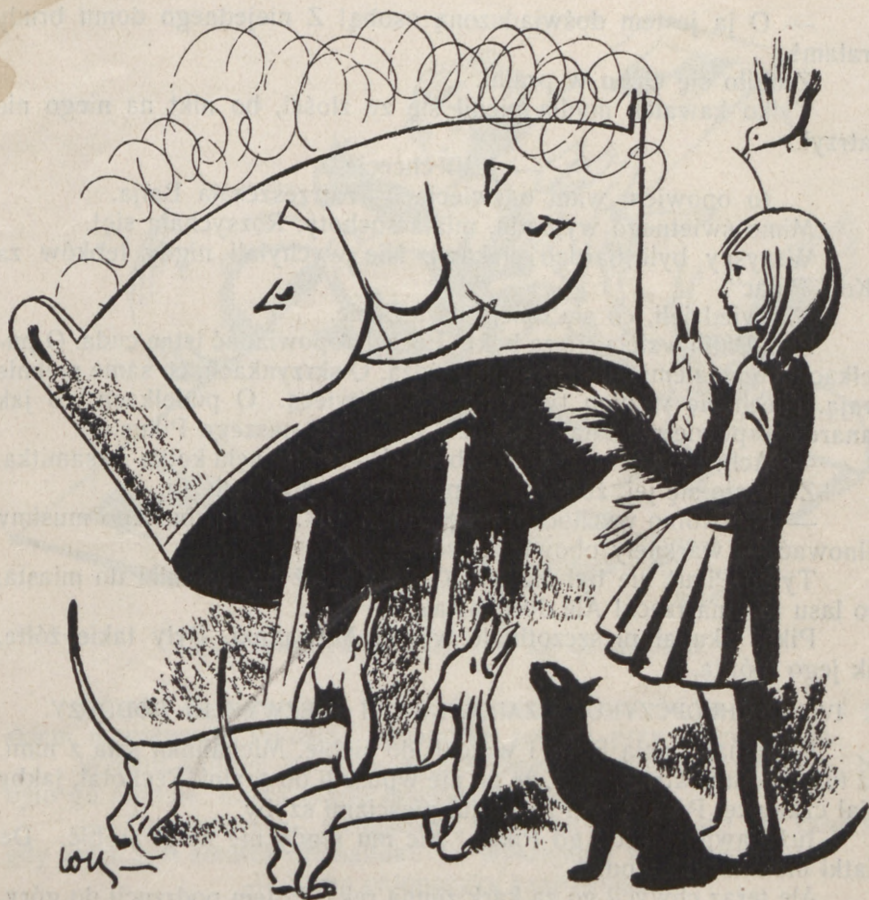
— Niedaleko przy płocie  
dam go chłopcu sierocie.

Bez spodenek on chodzi,  
lecz jest wielki czarodziej.

### III. WIZYTA U PANI BALJI.

Potem Michalinka - Mydlinka zaprosiła gości do siebie. Wypuścili też i Pikusia z klatki. Bo już zaczynał płakać. Pomaszerowali zgodnie do suteryny. Nikt na nikogo ząbków nie szczyrzył. Nikt nie dokuczał. Wszyscy byli bardzo szczyrzy, bo szli z Michalinką - Mydlinką.





Ukłoniła się im Balja.

— Pani Baljo — powiedziała uprzejmie Michalinka, — to są moi goście.

Nim Balja zdołała odpowiedzieć, zawył wiatr za oknem ze śmiechem:

— Coście wy za goście?  
Zaraz się wynoście!

Ale nikt tego warjata nie słuchał.

Ukłoniła się im Balja, wielka, tęga, godna gospodynii.

Aksamitka wskoczyła na okno. Bała się łapek zamoczyć. Bracia jamniki biegały po izbie. Kąty witały nosami. Wiewiórka wesoło skakała. Jakby była w salonie, a nie w pralni. Kanarek usiadł na ramieniu Michalinki i całował ją dziobem w usta.

— Niech nam pani co opowie, pani Baljo! — prosiła Michalinka.



— O ja jestem doświadczoną osobą! Z niejednego domu brudy prałam!

Zrobiło się cicho w pralni.

Tylko kawałek mydła pieniał się ze złości, bo nikt na niego nie patrzył.

— Jeśli chcecie

to opowiem wam o świecie — zatrzeszczała Balja.

Mimo świetnego wyglądu, miała suchoty. Rozsychała się!

Wszyscy byli bardzo ciekawi. Nie wychylali nigdy łebków za „Koci Pałac”.

Nie wiedzieli, co się dzieje na świecie.

Pani Balja wzięła się za boki. Poczęła opowiadać istne cuda. O pudełkach, co po ziemi całkiem same jeżdżą. O skrzynkach, co same pięknie grają. Niech się w nich tylko lampki zaświecą. O pudełkach, co jak kanarek w powietrzu latają. Prędzej nawet od naszego Pikusia.

— Ach, żeby to wszystko zobaczyć! — mruknęła kotka Aksamitka.

Zdawało się jej, że kielbasę przy nosku jej powiesili.

— Nie wolno wychodzić nam z „Pałacu”. Domu pustego musimy pilnować — warknęły obowiązkowe jamniki.

Tylko Pikuś nie był ciekaw. Gryzunia też nie tęskniła do miasta. Do lasu to inna rzecz! Ale do miasta?

Pikuś skubał pieszczotliwie włoski Michalinki. Były takie żółte, jak jego piórka.

#### IV. O CHŁOPCZYKU - CZAROWNIKU I NIEZWYKŁEJ PODRÓŻY.

Pożegnali panią Balję i wracali do siebie. Michalinka szła z nimi. Aż tu na polu wiatr. Zły był, że go nie wpuścili do pralni. Rechotał, jakby miał czkawkę. Podrygiwał i wybijał pięściami szyby.

Już dawno złościł go Pikuś. Nic mu nigdy nie mógł zrobić. Do klatki nie miał dostępu.

Ale teraz chwycił go za kark zimną ręką. Potem podrzucił do góry, pokręcił z nim młynka... Jak dzieci bawią się w drobną kaszkę.

I rzucił z całej siły daleko!

Wszyscy stanęli przerażeni.

Wiatr śmiał się:

— Hau, hau, hau!

Wiatr kanarka zwał!

Zaskomlały zgodnie pieski:

— Pi, pi, pi!

Gdzieś, Pikusiu, ty!?

Pisnęła Gryzunia żałośnie:

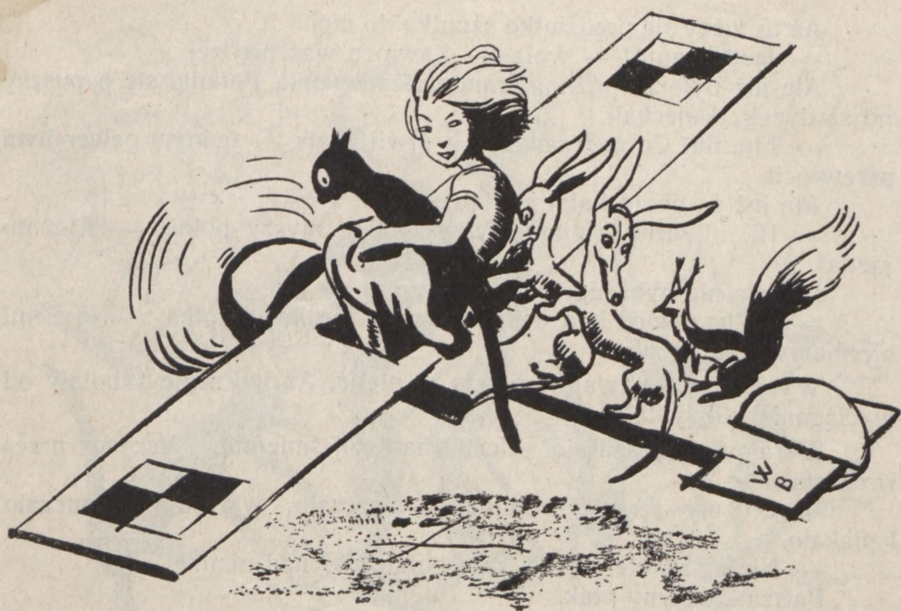
— Mru, mru, mru...

Niema ptaszka tu.

Mruknęła złowieszczo Aksamitka. Tak, jakby wymrukiwała mowę pogrzebową.

— Trzeba go szukać! — zadecydowała Michalinka - Mydlinka. — Może jest niedaleko?





Całe towarzystwo wpakowało się do samolotu.

Jamniki obwąchiwały trawę. Gryzunia skoczyła na drzewo i piśkiem nawoływała Pikusia. Aksamitka została przy dziewczynce.

Wrócili smutni. Kanarek zginął zapewne waleczną śmiercią. Nie było go nigdzie. Kotka otarła faszyną łzę łapą.

— To trudno! — westchnęła, ale i jej zrobiło się żal kanarka, gdy zobaczyła smutek Michalinki. Ta wyszeptwała w zamyśleniu:

— Znam chłopczyka czarownika.

On nam może dopomoże?

Na sąsiednim podwórzu siedział chłopiec. Włosy miał, jak garście wysypanego popiołu. Koszulkę, jak szmatę do podłogi. Wyrzebywał ze śmieci pudełka od zapalek. Związywał je kawałkiem nitki, wyprutej z koszulki. Pudełka wyglądały, jak czerwone wagoniki.

Michalinka opowiedziała mu o zmartwieniu.

Chłopczyk zamyślił się:

— Trzeba go szukać tramwajem — wyrzekł z powagą.

— Do tramwaju daleko! My nie mamy pieniędzy na bilet — westchnęła dziewczynka.

— Tutaj macie tramwaj! — powiedział chłopiec z dumą. — Właśnie w tej chwili wypuściłem go z fabryki. — I nagle pudełka niezmiernie urosły. Stały się wielkie, jak prawdziwy tramwaj.

Michalinka wsiadła do wagonu. Na kolana wzięła Aksamitkę i wieiórkę.

Ale że to był przedział dla kobiet, więc jamniki musiały wsiąść do innego wagonu.



Aż tu toczy się prędziutko szpulka do nici.

— Jestem auto! — woła. — Zawiozę was prędeż.

Ale już było za późno. Tramwaj zadzwonił. Potknął się o puszkę od sardynek. Pojechali.

— Fiu, fiu! Co za tramwaj! — drwił wiatr. — Jednym palcem bym przewrócił.

Ale już za długo hulał i osłabł.

— Hi, hi, hi! — piszczały wszystkie myszy polne. — Ależ to jazda!

Pikusia nie było nigdzie.

— On na pewno lata w powietrzu — mruknęła kotka. — Na ziemi nie mamy go co szukać!

Wysiedli z tramwaju i patrzą w niebo. Aż ich szyje zaboląły od wyciągania głowy.

A tramwaj obraził się. Uciekł na swój śmietnik. Wszyscy prze-rzazili się.

— Co my teraz zrobimy? — piszczało, warczało, miauczało i płakało.

— Nie martwcie się! — zafurgotało coś nad nimi.

Patrzą... dziwny ptak.

Skrzydła ma srebrne. Na nich czerwono-białą kokardkę.

— Samolot! — krzyknęli wszyscy razem. Znali go dobrze. Wi-dzieli nieraz z balkonu, jak bujał w powietrzu.

Ale to nie był ten sam. To zapewne jego brat. Ten niedawno do-piero wyfrunął ze sklepu z zabawkami.

— Wsiądźcie do mnie! — zaprasza serdecznie. — Już znudziło mi się latać bez pasażerów. Dosyć mam lotów po podwórzu i pokoju. Kupił mię mały Wojtuś od pana doktora. Uciekłem mu prędko.

Całe towarzystwo wpakowało się do samolotu.

Dobrze im było wszystkim razem. Tylko za Pikusiem tęskno.

Samolot kichnął z radości. Rozpędził się i latał po ziemi.

Potem szarpnął się i latał w powietrzu.

Ziemia taka mała, jak zabawki dziecinne. Koleje, auta, tramwaje mniejsze, niż pudełka od zapalek.

Kotkę aż łeb rozbolał ze strachu. Jamniki rozchorowały się na żo-łądek, Gryzunia popiskiwała cichutko. A Michalince-Mydlince zimno było.

Złitował się nad nią obłok i okrył swoim futerkiem. Wyglądał jak puszysty biały kożuszek.

Gwiazdki poczęły świecić. Lały miód do buzi dziewczynki.

Aksamitka oblizywała się przez dwie godziny. Nawet pieski wy-zdrowiały.

Przelecieli całą Polskę, a kanarka nie było!

— Już trzeba wracać do domu — terkoce samolot, — benzyna się kończy.





A tańce były nadzwyczajne.

#### V. WIELKI BAL W PRALNI.

Wylądowali na trawnik przed domem.

Koci Pałac stał tak, jak codzień. Tylko uśmiechnął się wszystkim oknami na ich widok.

Patrzą, a tu Pikuś w klatce siedzi i ziarenka dziobie.

— A ty niegodziwcze! Gdzieś ty był tyle czasu!? — warknęły jamniki i kotka.

Ale udawały tylko gniew. Już nie umiały się nawet gniewać.

Po podróży z Mydlinką zupełnie się zmieniły. I Pikusia inaczej kochać zaczęły. Bo najwięcej kocha się tego, kogo się utraci.

Michalinka ucałowała ptaszka w główkę i mówi:

— Całe szczęście, że jesteś. Cały wspaniały „Koci Pałac” byłby smutny i nic wart bez ciebie. — A wszystkie zwierzęta potaknęły zgodnie.

— Wiatr rzucał mną, a potem cisnął na balkon. Widziałem, że wybieracie się w jakąś podróż. Wołałem, byście wzięli mię ze sobą. Ale nie słyszeliście.

Z tej radości był ogromny bal w pralni. Zaproszono chłopczyka-czarownika z sąsiedniego śmietnika. Przyjęcie było okazałe.

Kotka przyniosła szklankę mleka. Psy porwały cały salceson. Gryzunia uskładała trzy kostki cukru i pięć orzechów. Pikuś przyniósł pudełko ziarenek.



Orkiestra była znakomita. Mydło waliło w Balję jak w bęben. Po-  
grzebacz rozbił w zapale nos piecowi.

A tańce były nadzwyczajne.

W pierwszą parę Aksamitka z Pikusiem. Gryzunia z Kłapouszkiem  
i Krzywonożkiem we troje. A Mydlinka - Michalinka z chłopczykiem -  
czarownikiem. Potem się wszyscy całowali i przepaszali.

— Wybacz moje dawne niechęci — powiedziała kotka do wie-  
wiórki i polizała ją w ogonek.

Ukloniły się sobie głęboko.

Wszyscy się pokochali, bo ich tego nauczyła mała Mydlinka z su-  
teryń. Cały „Koci Pałac” był wesoły i szczęśliwy. Zwierzęta uczyły  
praktyczności Mydlinkę i wychowały ją na znakomitą gospodynię.  
Chłopiec ze śmietnika został sławnym inżynierem. Miał własny samolot  
i własne auto.

Pobrali się z Michalinką-Mydlinką i kupili „Koci Pałac”.

*Irena Szczepańska.*

### „CHCĘ ZADRŻENIA SERC”...

„Listki na brzozech waszych zadrzą, bo wiatr poczują, ale sta-  
re, zgrzybiałe drzewa długo stać będą, nie pokazując żadnego wstrzą-  
śnienia. Tego szmeru listków, tego zadrżenia serc chcę... Od tych,  
co czują, chcę, aby mocniej i głębiej poczulili...”

*Juljusz Słowacki.*

List do rodziny z roku 1843-go.

Jest wiele dzieci nawet malutkich, które nie znoszą widoku łez.  
Zaraz ich buzie układają się w rzewną podkówkę. Znałam bardzo dziel-  
nego chłopczyka, nie był już wcale mały, o nie! Miał dziesięć lat. I nie  
wytrzymał, gdy jego trzyletnia siostra robiła podkówkę. Na ten ża-  
łosny widok porzucił zabawę i, walcząc ze łzami, usiłował — jak się  
dało — pocieszać maleństwo.

Nazywamy to współczuciem, jeśli człowiek dzieli ból innego czło-  
wieka, jeśli umie wyobrazić sobie nie swoją przykrość. Gdy synka ząb  
boli, mama nie czuje bólu zęba, ale wyobraża sobie jego cierpienie  
i współczuje ze swem biedactwem.

Łatwo jest zdobyć się na współczucie dla najbliższych, kocha-  
nych, gdy się widzi ich ból, lub smutek. Wtedy to serce nasze jest jak  
listek brzozywy, drży od cierpienia kochanych istot, gniewa się od ciężaru  
ich trosk.

I kiedyż to jeszcze wzruszamy się nieswoją niedolą? Gdy czy-  
tamy żywo i pięknie napisaną książkę. Ile to razy „głupie łzy” wkrada-  
ły się pod powiekę, gdy się czytało o Stasiu i Nel, o dziecku przed są-  
dem, o chorym Nemeckzu, o Anielce... Wzruszenie, czułość zjawiają się  
wówczas tak łatwo, przejmują tak głęboko!

Tak, tak; pisarz - poeta to czarodziej. Z serca ludzkiego czyni  
listek brzozywy. Ono to, tylekroć obojętne na wszędzieobecne smutki,



nagle staje się czujniejsze i przez jedną chwilę rozumie lepiej swoich bliźnich. Czuje mocniej, bo sobie lepiej wyobraża cierpienie.

Ale nad wyobraźnią swoją można przecież popracować samodzielnie, bez pomocy powieści. Słowacki w tym samym liście o kilka wierszy dalej mówi: „chcę, abyście siebie wypracowali na takich, jakich Bóg żąda” Wypracowali! Więc pewnie nie myśli o uczuciach łatwych, które ogarniają serce wbrew jego czujności i przyśpieszają mile jego bicie! O ileż lepiej byłoby na świecie, gdyby ludzie umieli sobie sami dobrze wyobrazić dołę innych ludzi! Żeby ten, co nie pracuje, wyobrażał trud pracy; ten, co jest wolny, umiał pojąć niewolę; ten, co jest zdrowy — cierpienia chorego! Ale wyobraźnie ludzkie nie są jak listki brzoszowe, o nie! Są jak stare zgrzybiałe drzewa, które nie pokazują żadnego wstrząśnienia, choć wichur szaleje. Albo są jak płochliwe ptaki, co z pośród drżących liści uciekają, uciekają jak najdalej!...

Gdy w dzisiejszym gwarnym, błyszczącym, rozpędzonym świecie ciągle słyszemy o bezrobotnych, o pozbawionych dachu, o głodnych, gdy powtarzają to gazety, nalepki, zaczynamy się do tego przyzwyczajać i obojętniejemy. Ale ktoś tam się stara, skoro o tem piszą, ktoś ma serce, jak listek brzoszowy, ktoś zabiega niestrudzenie i budzi te serca, do listków niepodobne. Bo za każdym czynem, za instytutem do zwalczania raka, za biblioteką w szpitalu, za rozpoczęciem składek na dobry cel jest czyjeś serce czułe, jak liść na wietrze. Te serca się nie martwią, że bólu całego świata i tak nie podźwigną. Nie mają czasu.

Człowiek za mało żywo odczuwa dołę i pracę innego człowieka. Gdyby ją umiał odczuć, jak swoją, mocno i głęboko, jak chce poeta, a pozostał przy tej wrażliwości dzielny i odważny, byłby takim, jakiego „Bóg żąda”. Wyszedłby naprzeciwko stugłowego smoka — cierpienia ludzkiego, jak królewicz, jak Krakus z legendy. A życie już takie jest, że tym królewiczem może się stać nawet każde dziecko i to na każdym miejscu i o każdej porze...

St. Suchowa.

## KOŁYSANKA.

*Cichuteńko, za oknami,  
deszczyk pada kropelkami,  
słysząc zdala rechot żab...  
Kap, kap...*

*Za kropelką kropla goni  
i o szyby dzwoni, dzwoni...  
— Płyń, kropelko srebrna, płyń!  
Dzyń, dzyń...*

*I ty, wietrze, o okienko  
bij skrzydłami, szum piosenką,  
kołysankę dzieciom graj!  
Baj, baj...*

*Choć się skarży noc szarugą,  
minie deszczyk niezadługo.  
Zmilknie, nim nadejdzie świt...  
Cyt... cyt...*

HELENA DUNINÓWNA.



## S K A R G I.

Siadła sroczka na płocie i główką kiwa.  
— Ach, ja biedna, ach ja nieszczęśliwa! Mam ja gniazdko, a w gniazdku jajeczka, a wakacje tuż tuż niedaleczko!

Usłyszała te skargi czarna wrona, więc się pyta oburzona, zdziwiona:

— Czego płaczesz, pstra sroko, zawodzisz? Cóż wakacje mogą ciebie obchodzić?...

Zaszumiały trawy dookoła:

— Na wakacje zamkną wszystkie szkoły, będą dzieci biegać na swobodzie hen, po lesie, po polu, po ogrodzie, będą deptać po zielonych trawach dla igraszki, dla pustej zabawy! Będą zrywać bez litości kwiatki: ostróżki, kąkole, bławatki, a zerwane — świeże, pachnące rzucą potem gdziekolwiek na słońce, aż uwiędna biedne w zapomnieniu, tęskniąc cicho za wodą, za cieniem.

— Tak, o, tak — zaszepotały cichutko modrookie, śliczne niezabudki.

— Jaka szkoda! jaki żal! jak to smutno, że bywają dzieci okrutne!

— Tak, tak! — szeleściły, szumiały młode wierzby i brzoźki białe.

— Tak, — wzdychały leszczyny i klony — nie znasz chyba dzieci, pani wrono, skoro nie wiesz i o takie rzeczy pytasz. Niedobre są dzieci i kwita.

— Oblamują gałęzie na drzewach — cichuteńko las cały zaśpiewał, — wyszukują gniazd w zaroślach i gajach, z gniazd jajeczka ptakom wybierają.

— Oj! — zajęczał cichutko cytrynek — tak się boję chłopców i dziewczynek!

— Ach! — admirał się nagle rozełał — będą brali mię znów za skrzydełka! Zniszczą moje barwne ubranie dziecinnemi, małemi rączkami!

Rozszumiał się las i pole:

— Doloż nasza, ty niedolo! Potoż było nam na wiosnę śpiewać, kwitnąć, żyć i rosnać, poto lataśmy czekali, wyglądali, przyzywali kwiatów wonią, drzew zielenią, poto nas karmiłaś, ziemio, by nas teraz dzieci małe wyniszczają, marnowały?

— Fiu! fiu! — zagwizdały szpaki — nie dadzą się wam we znaki nasze słodkie z szkół dzieciaki! Już my dobrze wiemy o tem, że serduszka mają złote! Spójrzcie tu na te jabłonki, jakie mamy śliczne domki! Te skrzyneczki, te sosnowe mały chłopiec sam zmajstrował. Nućąc piosnki, deski mierzył. Strugał, zbijał, jak należy i rozwieszał po ogrodzie, ku szpakowej, ku wygodzie!

— Ćwierk, ćwierk, — wróble zaczęły — bez pomocy dzieci małych zginąłby nasz wróble ród przez zimowy głód i chłód! Niech powiedzą sikory bogate i modre, czy nie były dzieci dla nas szczodre! Zięba samczyk, trznadło i śmieciuszki jadły z nami chleba okruszki, a ta czarna, ogoniasta wrona skakała, latała oburzona: — Kra, kra, — krakała, prosiła: — a mnie nie dasz, dziecinko miła?

— Czegoż ci, czarna wronko, potrzeba? Czy kartofli, czy sera, czy chleba?

— Oj, czy chleba, czy sera, wszystko jedno, bom od rana nic nie jadła dziś biedna.

— Prawda! Jak mi życie miłe, dzieci szkolne nas zimą karmiły. Karmiły, ziarno sypały, a prosiły! A jak zapewniały: — Hej, ptaszęta, małe niebożęta! Będziem o was całą zimę pamiętać!

Uśmiechnęło się na to złote słońce, po błękitnem niebie chodzące i rzuciło snop przejasnych promieni na pachnącą ukwieconą ziemię. A wiatr cichy słodko zaśpiewał na zielonych, na szumiących drzewach:

— Każde dziecko, w każdej polskiej szkole kocha lasy, ogrody i pola. Żadnej tutaj nie zrobią wam szkody. Mają koła miłośników przyrody! Nie bój się, motylku - admirałe, nikt nie dotknie twych skrzydełek wcale! Bądź spokojna, sroczko krzykliwa, małą główką w trwodze nie kiwaj!

— Tak, tak! — każdy promyk słońca wołał. — Niech nam żyje nasza polska szkoła!

Janina Majewska.





### CHODZIŁ KSIĘŻYC...

Chodził księżyc po niebie  
wieczorem, wieczorem  
i zobaczył siebie  
w jeziorze za borem.  
— Czemuż to jestem taki  
rumiany, czerwony?  
Muszę chyba być chory,

chory, przeziębiony?  
Trzeba mi wziąć na poty,  
trzeba mi z mgieł koszuli,  
z mgieł koszuli, kapoty.  
Jak się dobrze otulę,  
zniknie rumieniec złoty!

J. MAJEWSKA.

### LETNIA NOC.

Cichuteńka noc czerwcową  
snuje, snuje cudne sny...  
Pachną kwiaty, krzewy, drzewa,  
księżyc srebrnym światłem mży.

Lekki wietrzyk cicho wieje,  
cichuteńko świerszczyk gra...  
Jakieś cudne, dziwne dzieje  
marzą nam się w słodkich snach.

Z. NIEDZIELSKA.

### MUSZKI.

Muszki, muszki, czy słyszycie?  
Chcemy stać się wami,  
by tak chodzić po suficie  
do góry nogami.  
Mknąć nad ziemią, gdy potrzeba,  
niedościgłym lotem

i pofrunąć aż do nieba,  
gdy się ma ochotę.  
I tak bujać po błękiecie,  
hen — aż pod chmurami!  
Muszki, muszki, czy słyszycie?  
Zmieńcie wy się z nami!

J. GILLOWA.



## O JUHASKIEJ GROCIE W GIEWONCIE.

*Napisał T. Malicki.*

Nad doliną zakopiańską trwa rycerz uśpiony — Giewont. Legł nawznak, złożył utrudzone ręce na piersi, wsparł się stopami w ciemny bór, cudna głowa zapatrzona w niebo otwarte. Tak usnął i tak skamieniał... ale o tem inną Wam opowiem bajkę. Teraz chcę Wam opowiedzieć taką smutną prawdeczkę o Franku z Dzianisza, o jego krótkiem życiu i śmierci. Więc posłuchajcie:

To było jeszcze bardzo dawno temu, jeszcze podhalańskie wsie otaczała głusza lasów, jeszcze mało kto wiedział, że tam za borami w głębokich rowach dolin leżą wsie, których chaty pod wielką czapą dachu tuła się do jesionów i jaworów.

Mało kto wiedział, jakie tam wonie żywiczne nasycają kryształowe powietrze, jakie tam hale zielone i smrek i smigłe i turnie niebosiężne. Mało kto widział jeziora głębokie i ciche jak sen, drzemiące w pogodzie i ciszy wiekuistej. Na Podtatrzu, w dolinach i garbach Gubałówki, rozłożyły się osiedla. Drewniane domy, z szerokich świerkowych belek, z okienkami dla drożyzny szkła zalepionemi „błoną”, pęcherzem, z odrzwiami, górą krągłemi, tuliły się do prastarych, mocnych drzew, przed potężnemi wichurami jesieni i przedwiośnia. Tonęły w ogromnych śniegach zimy, zasypane od dachu do proga nieskalanym puchem, tak, że do obór trzeba było nieraz przekopywać głębokie tunele, aby było nie ginęło z głodu. W taki czas umierało zupełnie życie osiedla. W dzień — królowała Złota Pogoda, w nocy straszny, niepojęty Biały Mróz.

W taką noc przyszedł na świat Franuś. Nikt się tym przybytkiem nie ucieszył — nawet matka. Pomyślcie — nawet matka! Bo matka wiedziała i przeczuwała lękliwem sercem, że kiedy otó odezwało się życie, weszła do chaty Nędza. Poprzedziła ją przeciw Śmierć. Tuż przed śniegami, przyniesiono jej do chaty męża, którego zgniotła na wyrębie jodła. I kiedy brakło żywiciela, z izby, z czarnej izby uciekła ostatnia radość i ostatnia nadzieja. Zostało jeno borykanie się z głodem, worek gruli <sup>1)</sup> w sklepie <sup>2)</sup>, jarca <sup>3)</sup> na moskalika <sup>4)</sup> i bryjki <sup>5)</sup> nieco. A i tego ubywało. Dlatego nie cieszyła się matka Frankiem, nie żeby jej było gruli i jarca żal, jeno macierzyńskiem sercem przeczuwała, na jaką to Frankowi wyjdzie dolę. Ale Franuś się tem nie kłopotał. Leżał sobie w skrzynce, zawieszanej na sznurze u sozrębu <sup>6)</sup> i niewidzącemi oczyma błądził po czarnym pułapie. Kiedy był głodny, — krzyczał, kiedy był syty, spał. — Rośnie! — mówiły sąsiadki. — We śnie rośnie! — Później nauczył się ruszać palcami i zabawiał się niemi od rana. Matka u małego okienka przedła cudzy len. Czasami nasłuchiwała, bo się jej zdawało, że idzie mąż. Jeszcze nie nawykła do śmierci. Nocami na nędz-

<sup>1)</sup> ziemniaków. <sup>2)</sup> piwnicy. <sup>3)</sup> owsa. <sup>4)</sup> chleba owsianego. <sup>5)</sup> zupa z mąki owsianej. <sup>6)</sup> główna belka, wiążąca strop, pięknie rzeźbiona.





...stary Kośla obchodził raz na miesiąc izby...

nej pryczy, przy ledwo tlejącem na nalepie ognisku, które ani ciemności nie rozpraszało, ani nie grzało, tuliła trwoźnie do siebie Franka.

Dziecko było jeszcze nie chrzczone. Niechrzczone dziecko strach trzymać w izbie. Ochrzciała je wprawdzie z wody, ale to nie to. A do kościoła — hale „kieli świat”<sup>7)</sup>). Kiedy dziecko niechrzczone w chałupie, to wieczorem z izby wyrzecz „do pola” strach. Za oknami płacze się wilkołak. Do szyb cisną się malutkie dziwożonki, które rade cudze dzieci kradną. Małe to a zwinne, jak łasica. Ani się opatrzysz, kiedy się do izby wciśnie, drzwiami czy kominem — i kołyska pusta.

Trzeba przecież temu jakoś zaradzić. Kiedy się pogoda ustaliła i śniegi stwardniały, przyszedł do matki stary Kuba Kośla Krzesławity<sup>8)</sup>). Pochwalił Pana Boga, „pozdrówkał piknie”, zdjął „tórbe” z pleców a miał ich dwie. Jedna była pełna, druga pusta. W te czasy z chrztem to się robiło tak: stary Kośla obchodził raz na miesiąc izby w zimie, i gdzie się co urodziło, do chrztu, do Zakopanego nosił. Dzieci, owinięte w ciepłe płachty, do torby juhaskiej chował, w zanadru miał flaszkę ciepłego mleka, owiniętą w gałgany. Przebijał się z tym wiotkim ciężarem przez zasypane lasy i polany, gwarząc całą drogę z samym sobą. Dziwne to były pogwarki Kośli. Ktoby się im przysłuchał, nadzieiłyby się

<sup>7)</sup> bardzo daleko. <sup>8)</sup> Oprócz nazwisk górale mają przydomki. Krzesławity znaczy pochylony — krzywy.



im niemało. Prawił Kośla do siebie: — Ej wiera, ze tyz wiera <sup>9)</sup>, co ta komu z tego zywoybicia? Naznoi <sup>10)</sup> sie cłek co cud. Od rana do wieczora. Cy to dziwka cy chłopiec. Ta w lawej <sup>11)</sup> tórbce siwe ocka mo! Ckoj <sup>12)</sup>! Zapłaces ty tymi ockami! Kie ci zycie za pazdury <sup>13)</sup> wlezie. Ej wiera kielito śnig! Ten ta w prawej brzejszy! <sup>14)</sup> Brzejsc! Brzejsc! Nieskrzeńce! E to dopiro zacontek. Nabrzejsy się dość, tfu <sup>15)</sup> ci braknie. Pikny cas. Zimno bo zimno, ale słonecko świci.

Oglądnał się Kośla Krzesławity za siebie: — Ci to ja kwarzem, ci moja Werońko? — Bo stary Kośla przez 50 lat pożycia nawykł do swej żony Weronki tak, że kiedy sam z sobą rozmawiał, to na dwa głosy. Jak źle, jak przyganiać — no to on. Jak dobrze, jak chwalić, no — to Weronka.

W tej chwili obie torby zaniosły się płaczem. — Cichoście, edy cichoście. Na Butorów nie pec <sup>16)</sup>, to wom dam mlika.

Była po drodze na Butorowie izba, w której siedział stary znajomy Kośli, Galarowski. Tamto Kośla w swem urzędowaniu zawsze robił przystanek, ugwarzył się dosyta, a tymczasem stara Galarowska przewijała dzieci, podgrzewała mleko i karmiła. Dobrze, kiedy Kośla niósł chłopca i dziewczynkę. Wtedy wiedział czyje, które. Gorzej, kiedy chłopców albo dziewczyny. Wtedy się bardzo traził i upominał Galarowską: — Ino dejcie poziór <sup>17)</sup>, krzesna matko, cobyście nie pomisali. Ta z lawy tórbki to Jagniszki młynarzowy, ta z prawy Budzów. Uwozyciez, cobyście nie zmylili. E pote toby trza ku Salomonu <sup>18)</sup>.

Z Butorowa w dół ku Zakopanemu już niedaleko. Choć tam Kośla i stary, ale dobrze przed południem był w Zakopanem przy kościele. Wbił ciupagę w zrąb zakrystji, tórbki na ciupadze powiesił i poszedł do organisty. Kiedy organista zobaczył Koślę, w te pędy leciał do Jegomości. Tak miał przykazane. Kośli się zdawało, że go Jegomość bardzo „weneruje” <sup>19)</sup> a to chodziło o to, żeby chrzest jak najprędzej odbyć, żeby dzieci nie zamarzyły, żeby Kośla przed nocą do domu wrócił. Długo to nie trwało. Kiedy Kośla z kościoła wyszedł, niósł w torbkach Franciszka i Agnieszkę. Że tam po drodze do karczmy trafił, to nic, bo chłop był w urzędowaniu czujny, a dzieci trzeba było nakarmić. Że się tam trochę zataczał, to jeno do Uboczy, bo go gorące zmroczyło powietrze w karczemnej izbie. Od Uboczy, gdzie teraz kościół Jezuitów, szedł prosto pod górę a „wartko” <sup>20)</sup>. Różowił się świat wczesnym zachodem słońca. Mróz tęzał. Kwilenie i gaworzenie w torbie stawało się coraz cichsze. Od nawyku jeno stary Kośla mrucał: — Nie brzejsc, nie brzejsc, dyś przecie krześcijanin. Żle ci to?

Wieczorem Franek wisiał w swem pudle u sozrębu. Co tam wiele opowiadać! Na drugą zimę Franuś po izbie „na brzuku” się tulał, na trzecią na nogach, a na szóstą to go już wogóle w izbie nie było, chyba tylko na noc. Nazywało się, że gęsi gromadzkie „na krzyipopie” <sup>21)</sup> pilnuje

<sup>9)</sup> ej prawda! prawda! (westchnienie). <sup>10)</sup> umęczy. <sup>11)</sup> lewej. <sup>12)</sup> poczekał. <sup>13)</sup> paznokcie. <sup>14)</sup> wrzeszczy. <sup>15)</sup> tchu. <sup>16)</sup> niedaleko. <sup>17)</sup> uważajcie. <sup>18)</sup> zdać się na sąd Salomona. <sup>19)</sup> szanuje. <sup>20)</sup> szybko. <sup>21)</sup> przykopie.





Siadali sobie na ziemi kręgiem.



z innymi chłopczyskami. Ale to tak tylko, żeby aby, „dy przecie ptok nie ucieknom, zawdy się najdom”. A oni musieli zrobić młyn. Młyn godny, taki jak u Kuby na trazu. Z kołem, z gatrem. Do tego Franuś był jedyny. Rzezał „skiauakiem”<sup>22)</sup>, co jeno od niego chcieli i co mu dziecięca podsuwała fantazja.

W ziemie zachodził na osiedle wędrowny nauczyciel. Mieszkał u przysiężnego Topora, bo ten największą miał izbę i „rad dzieci u siebie widział”. Był wdowcem. Tam to schodziły się dzieciśka na naukę. Izba była duża, ale gdziebyś tam w izbie wszystkie dzieci zmieścił, jak trzeba? Toć przecie tyle tego „jak grzybów” mawiał stary Topór. Rozsiadła się ta brać na ziemi. Chłopcy po lewej, dziewczęta po prawej. Przychodzili prawie o świcie, kiedy słońko zaledwie wychodziło z za Murania. Wychodzili na odwieczarz. Pootulani w płachty, łoktusi<sup>23)</sup>, w stare ojcowskie gunie, który biedniejszy, nierzadko w matczyną kieckę. W rękę miał każdy chusteczkę z jedzeniem, w zanadru książkę. Każdy inną, a każda książka do modlenia. Siadali sobie na ziemi kręgiem. Przy piecu nauczyciel, na krętym korzeniu świerkowym w kształt krzesła. Okulary miał wielkie w cynowej oprawie, na garbie nosa owinięte włóczką. Palił fajkę z krętym „piporasem” i latał kierpce. Na kominie palił się ogień rubinowy, przy nim krzątała się Weronika, służka u Topora, i warzyła strawę. Pod kominem, za przegrodą w grubie beczały małe jagnięta.

A dzieci dukaty „ze słabizoka”, z książeczek do modlenia a najwięcej z kantyczek. Jak ten dobry, stary nauczyciel wędrowny potrafił nauczyć czytać tę czeredę, Bogu jedynie i jemu samemu wiadomo. A przecież w drugą zimę tej nauki Franek ciągnął ze swojej starej kantyczki, co po ojcu, na półce pod obrazami na szkle została:

— Be-de Cie wiel-bił, mój Pa-nie,  
pó-ki mnie na świe-cie sta-nie.

Kiedy nadchodziło południe, nauczyciel robił przerwę. Wtedy dopiero w izbie robił się „mat”<sup>24)</sup>. Najpierw trzeba było rozwiązać chusteczkę i wydobyć jądro. Ten miał „moskalicka” i „oscyпка”<sup>25)</sup> kawałek, owa trzy jajka i chlebuś, tamten grule pieczone bez soli, niektóry nawet i masła odrobinę albo bryndzę. Trafiały się u niektórego i gruszki suszone w popiele. Wyglądała ta izba, jak kościelne podwórze w wielką sobotę. Nauczyciel przeciskał się przez tę izbę rozgadaną i dzielił się z dziećmi jadłem. Takie było jego prawo, takie wynagrodzenie. Oprócz tego z każdej chałupy pobierał przez przysiężnego cztery grajcarry. Wdowy nie płaciły nic. To też i Franuś nietylko, że nie płacił, ale i jedzenia prawie, że nie przynosił. Czasem grule, czasem — głód. Ale umiał sobie rady dawać. Dzielili się z nim chętnie wszyscy na zamiangę, za te jego rzeżane cudeńka.

Czasami w izbie tej było dzieciom, jak w niebie. Nauczyciel „ozpowiadał”. Człek był światowy, przedeptał jako wojak i jako wędrowny,

<sup>22)</sup> składak — tani nożyk składany. <sup>23)</sup> Iniane chusty, służące do dźwigania koszy na plecach. <sup>24)</sup> zamieszanie. <sup>25)</sup> oszczypek — owczy serek, wędzony w dymie.



świata kraj. Nie było końca wtedy pytaniom: Jak to? Co to? Naco? Bez co?

Wojackie swoje przeżycia, pół prawdy, pół legendy, przydymione pyłem lat — zdarzenia srogie i surowe, jak życie żołnierskie. W izbie była cisza, ba, mogło nawet Weronice „mliko skipieć, nie dbała o nic, kiedy nauczyciel gwarzył. Przez małe okienko padała na jego sępią zoraną twarz poświata od śniegu — liljowa, okulary miał zesunięte na czoło, a mętne jak szybki oczy patrzyły w daleką klechdę życia.

Albo innym razem opowiadał bajdy, stare jak świat, pachnące miodem dzieciństwa. — O kaczce, co złote jaja nosi w Kasprowej grocie. O kowalu Fakli, co konie rycerzom uśpionym w grocie Wodnej pod Pisaną w Kościeliskiej podkuwał, o dziwożonkach, o wilkołaku, i strzygach. Zimny dreszcz lęku i ciekawości przyrastał dzieciom do grzbietu. I w taki odwieczny padło nieśmiałe Frankowe pytanie:

— Wojciechu! Ci mi sie tyz da Matka Boska widzieć abo Poniezus abo świenty Pietrzpawel?

— A bez co? — zapytał nauczyciel.

— E bobyk ik kcial wyrzezać piknie w jaworowem drzewie.

— E, dziecie — odpowiedział nauczyciel, — kieby się Oni sitkiem dawali tak widzieć, jakby fto fciół, bełoby źle.

— A ci sie widzieć nie dajom?

— E dajom! Bez coz nie! Ale kie sie juz komu dajom uwidzieć, to w takim kwile, ze sie zaraz pote cłowiekowi oci zamknom na wieki. Coby mu beło lzej umirać — haj!

Ale kie juz fces ik piknie wyrzezać, chibaj<sup>26)</sup> ze dołu w Zokopane, ku kościołu. Widziołek tam i Pombócka i Maryjom, malowanek piknie na płachcie. To sie naucys.

Nie umiał Franuś odpowiedzieć, że mu nie o to szło. Nie o to, co już inni zrobili, ale o to, żeby zrobić tak, jak jest, sprawiedliwie. Bo kiedy Franuś robił młyn, to był młyn jak się patrzy. Ze wszystkim. Kiedy robił chałupę, choć to była minjatura, to każdy poznał. „E dy to przecie Kubowa chałupa”. A tu jak? „Przecie Matka Boska to Matka Boska, jedna! Nimas juz drugi”. Nieraz to się Franuś nocami modlił: „E dy sie mi pokaz raz jeden, razicek! Cobyk Cie ino uwidział. Te twarzikie świentom”.

Teraz, kiedy usłyszał od nauczyciela, że sie czasem i pokaże, ale w ostatniej godzinie życia człowieka, zrobiło mu się smutno. Dziecinne jego marzenie zgasło. Nie zobaczy już nigdy, a kiedy zobaczy, będzie za późno.

Od tej pory Franek posmutniał. Rzezał swoje młyny, chałupy, i ule, ale to wszystko było ciągle takie same, choć inne. Naprzykrzał się matce, żeby go ku juhasom dała za honielnika<sup>27)</sup>. Ciasno mu było w chałupie i osiedlu.

Gdy mu szło na jedenasty rok, wziął go Józek Bachleda Księdzu-

<sup>26)</sup> pobiegnij. <sup>27)</sup> poganiacz.



larz z Bachledów za honielnika, na halę Kondratową. Jego za honielnika i Jaśka Pudrasowego za juhasa. Kiedy przyszedł czas, zegnali owce i krowy dzianiskie prosto w dół przez Butorów. Szły za nimi długo baby i chłopcy patrzeć, jak się kierdel posuwa. Nic dziwnego, cała ich chudoba szła przeciw w tym kierdelu. Nie wiadomo, co się tam może stać. Albo niedźwiedź ubije, albo się tam która jarka skiełźnie z upłazu w dół, albo nogi połamie, w nagłym owczym lęku uciekając. Albo się straci w turniach Giewontu, że ani do niej dojdzie, ani znajdzie.

Szedł sobie Franus „siumnie” z kierdelem, w białych „portkach” góralskich z parzenicami<sup>28)</sup>, w opasku, w koszuli wygotowanej w tłuszczu, w serdaku po ojcu, za wielkim, ale ciepłym, w kłobucku<sup>29)</sup> z piórkim. „Zbyrał” ciupagą. Tórbkę miał przewieszoną przez ramię, w tórbce jadła trochę, składak, igły, nici, grzebień żelazny, co tam jeno na hali potrzeba. Szło za Frankiem spojrzenie matczyne, kochające a lękliwe. Niosła go za kierdelem radość nowego życia. A dopiero, gdy się razem z bacą „stretli”<sup>30)</sup> pod regłami, kiedy się owce zbiły w jedno wielkie stado, turlikające dzwonekami, kiedy zagrały trombity juhasów, kiedy zaśpiewały juhaski - krowiarki, kiedy się to odbiło od ściany Giewontu długim radosnem echem... Ej świecie!

Pierwszy raz w życiu zbliżał się Franus do Tatr. Odżyły na dnie duszy wspomnienia bająn wędrownego nauczyciela. Wchodził w ten nowy świat z radością i lękiem. Otworzył się przed nim prastary, osędziały bór. Weszli na Kondratową halę. Pod kilkusetletnim smrekiem, niemal przytulonym do jego korzeni, stał stary bacowski szałas. Czarny od dymu, opuszczony, z otwartymi przez wściekle jesienne i zimowe wichury drzwiami, patrzył swem jedynem pustem okiem w świat. Podszedł ku niemu baca. Poważnie i uroczyście zdjął z troków końskich małe zawiniątko w białej szmatce. Wysupiał z niego garść ziela święconego, podpalił i okadził węgły szałasu i jego wnętrze. Aby Złe, co gazdowało tutaj w zimie, poszło precz. Przeżegnał krzyżem świętym trzodę i ludzi.

Na hali rozpoczęło się życie. Naprawiono szałas, którego dach ugiął się pod śniegami tej zimy, zniesiono żerdzie na stragę<sup>31)</sup>, ułożono pucyery<sup>32)</sup> i obonki<sup>33)</sup>, gdzie trzeba, na jądwidze<sup>34)</sup> zawieszono wielki kocioł miedziany na żętyce<sup>35)</sup>. I rozpalono watrę, która nie miała wygasnąć, aż pod jesień. Popod zrąb szałasu, aby go nie liżał płomień watry, nakładziono skrzyżali, nakładziono wielkie kłody drzewa. Niebieską smugą wypłynął nad dach dym. A wszystko czynili pod pieśń dziwną, surową, co nim wywoła echo, sama jest echem.

Uwijał się i Franek. Bo to z owcami w pierwszy dzień nie łatwo. Nim się je pozna, nim się one ze sobą poznają, kłopotu dość. Ta chce tu, tamta tam, dobrze, że był Dunaj, owczarski pies Luptak<sup>6)</sup>, mądry, ba, mądrzejszy, jak niejeden honielnik. On wiedział, co i jak trzeba. Rozpo-

<sup>28)</sup> ozdoby wyszywane na spodniach. <sup>29)</sup> kapeluszu. <sup>30)</sup> spotkali. <sup>31)</sup> miejsce podaju owiec. <sup>32)</sup> kadzie na mleko. <sup>33)</sup> beczutki, służące do transportu mleka. <sup>34)</sup> jądwiga — drąg, na którym wieszka się kocioł, w kształcie litery (S). <sup>35)</sup> mleko owcze. <sup>36)</sup> rasa pochodząca z Luptowa na Słowaczczyźnie.





...podpalił i okadził węgiel szafasu...

częło się życie na hali. Zrazu honielnik przy juhacie chadzał. Trawy dołami było w bród. Perciami <sup>37)</sup> leśnemi, co się popod las kapryśnie wiją, wyżej i wyżej, raz po pod Giewont między kosówki ku Piekiełku, gdzie bije żywa zimna woda, raz ku Kondratowej przełęczcy, to znów na Czerwone Wierchy, gdy trawy w dole brakło. Tu się Frankowi otworzył dopiero świat. Jak wstęga srebrno błękitna podniosły się ku niebu Tatry: Świnnica, Granaty i baca nad niemi—Krywań. Tu się mu pierwszy raz zakolysał nad głową orzeł. U stóp uciekały wdół zbocza, pokryte kosówką i błękitniała dolina Cicha, z dna której brylantowo przeświecał potok, niosąc swój szum wraz z wiatrem. Tutaj się Franek napatrzył, nacudował światu. I tutaj, legnąwszy w modrych gencjanach, zapatrzył się w niebo i pomyślał: — Ej, teraz to mi się wej powinno otworzyć niebo.

Nie otwarło się. Jeno obłoki płynęły od Krywania srebrzyste, wzdęte na pogodę. Innym razem chodzili przez bujne ferecyny <sup>38)</sup> popod Suchy Grzbiet Giewontowy. Patrzyli razem z juhasem, zawieszeni na ostrej grani Suchego, w dół ku Strążyskom ku Białemu. Strach, jak te ściany lecą „naremnie” <sup>39)</sup>. Kocie łapki, szarotki po nich rosna. Nie raz, nie dwa zaholifiał <sup>40)</sup> sobie Franek: „Mamo!” Kiedy już poznał wszystkie perci, kiedy się obeznał z owcami, jak na nie gwizdać, aby stanę-

<sup>37)</sup> ścieżkami. <sup>38)</sup> paprocie. <sup>39)</sup> gwałtownie. <sup>40)</sup> krzyk podobny do przeciągłego przyspiewu.



ty, zaś żeby ruszyły z miejsca, jak unikać staczania się kamieni i jak się głosić innym honielnikom i juhasom. Gdy trawy były już bardzo dołem spasione, rozdzielił baca kierdel i przydzielił Frankowi część. Franków juhas poszedł het w Goryczkowe, Franek w Suchy Grzbiet i Giewont. Strasznie mu teraz było dobrze samemu. Czuł się i nosił, jak sam baca — Księdzularz. To przystanął i ogarniał okiem świat, to owce przeliczył, to je pognał gwizdaniem ostrem wyżej w upłazy i półki. Dobrze było w pogody. Ale kiedy przyszły dni beznadziejnie szare, z ustawicznym drobnym mżącym deszczem, a mgły gęste i ciemne, wtedy była bieda. Ziąb przenikał przez starą ojcowską wytlaną cuchę, do kości. Strach przed czemś, co się w tej mgle kryło, pędził chłopca pomiędzy owce. I lęk, żeby się która nie zgubiła, nie straciła w tej siapanicy i mgle. Zmarznięty, dopiero w szałasie przy wiatrze tajał. W sinych spękanych rękach trzymał wielki czerpak gorącej zętycy, nogi bose niemal do watry wkładał. Uśmiali się dość z niego juhasi.

W jeden taki dzień ponury, w którym spadł spóźniony śnieg czerwcowy, straciła się Frankowi owca. Najgorsza. Zawsze bowiem bokiem chodziła, zawsze się gdzieś traciła. Zrazu myślał: Nańdzie się. Zagwizdał raz i drugi, zbił owce w kierdel, przeliczył, „chybiało” mu jednej. Poszedł szukać. Przystawał chwilami, nasłuchiwał, owca miała dzwonek, „może się da słyszeć”. Zdawało mu się, że wyżej usłyszał turlikanie. Wspiął się na półkę wysoką i spadzistą, śliską od świeżego śniegu. Ani śladu, ani znaku. Znów nasłuchiwał. Milczenie! W gęstej mgle nie widział nic, w skroniach od strachu i wysiłku huczła krew, serce mu skoczyło do gardła. I znów mu się zdało, że gdzieś wyżej niesie się turlikanie. Wspiął się wyżej, coraz wyżej. Czuł, wiedział, że bezdrożem idzie. I spadł na niego lęk, jak orzeł na jagnię.

Coś się czaiło popod skały i znikało. Dzwoniło tu, dzwoniło tam. Przeżegnał się Franuś — i ustało. Ale jak tylko z miejsca ruszył, dzwoniło znów. Zaczął krzyczeć. Głos tonął we mgle, jak w sianie. Przeskakiwał, siadał na przełazach, staczał się i podnosił. Nie wiedział już, gdzie jest, z tej, czy tamtej strony grani. Zimny deszcz mroził mu pokrzwawione ręce. Gorący pot zalewał ciało. Z wysiłku mgła zasłaniała mu coraz bardziej oczy, nogi drżały, serce waliło, jak młot. Zsunął się raz, drugi po płytach zaśnieżonych, aż wreszcie poczuł, że traci siły i rozum i że spada w otchłań. Odbił się raz i drugi ciałem od płyt, zahuczła za nim lawina kamieni, zawirował w oczach świat...

Zrobiło się cicho.

Kiedy się ocknął, był już odwieczarz. Musiał przejść wiatr, bo się rozdarły mgły i słońce chowało się właśnie za Gubałówkę, za Butorów. Franuś leżał cicho. Nie miał siły ruszyć głową, uchodziła z niego żywa krew. Widać, ześlizgnął się po płytach i żlebach, nie rzuciło nim w powietrze, jeno się jakimś cudem zatrzymał na piargach<sup>41)</sup>. W głowie huczały mu dzwony.

<sup>41)</sup> drobne kamieniami, usypujące się żlebami.





...pochyliła się nad nim...

— Kany tyz ta moja jarka? — wyszeptał. Dźwignął z trudem głowę. Nad sobą miał czarne, obwisłe sklepienie grotu, u stóp przepaść. Spróbował dźwignąć się na nogi — nie mógł. Po usuwającym się piargu wolno jął pełzać ku grotcie. Nie miał już sił, gdy wreszcie legnął pod sklepieniem. Paliło go pragnienie i zapadł znowu w głuchy bezwład.

O jakiejś porze ocknął się. Zdawało mu się, że owce zberczą. Ale oczy nie widziały nic, jeno otwór grotu zalany niebieskim światłem. Nad Tatrami płynął zimny seledynowy księżyc.

Jeszcze przez myśl Franusiowi przeszło, jak on to bacy odda tę jarkę<sup>42)</sup>, jakże on ją odda i co „mamusia powiedzom”.

Zapłakał ostatniemi, jakie mu zostały — łzami. W dreszczach gorączki i płaczu zwidziała mu się matka... jak przedzie len, przy oknie, len cudzy.

Nagle wewnątrz grotu rozjaśniło się światłem mocnem i niezmiernym. Ozwały się znów dzwony dalekie i w tej jasnej poświacie spłynęła postać biała i zwiewna, jak sen. Powietrzem się niosła. Rączki białe i drobne, jak lilje, wyciągnęła ku Frankowi, pochyliła się nad nim, przysiadła obok, skrwawioną jego głowinę podniosła i na sercu oparła. Franuś nie wiedział, jak mu jest. Słodko i cicho. Chciał się

<sup>42)</sup> jarka — roczna owca.



wyżalić, że owcę stracił, że się potłukł, spadając, że głodny i że sił już nic nie ma.

Drobne rączęta gładziły rozbitą głowę.

I nagle wspomniął sobie Franuś, co mówił wędrowny nauczyciel Wojciech. Dźwignął się jeszcze raz, popatrzył w przenajśłodszą twarz, aż oddech utracił. Drżącymi ustami wyszeptał:

— Nie będę Cię już nigdy rzeźbił... Ma-ry-jo!

I umarł.

Po długich długich latach znaleziono grootę w Giewoncie, a w grocie starą cuchę i ciupagę i garść kosteczek.

Długie, długie lata wysiadywała latem na polanie stara matka, która czekała, czy się też jej Franuś, rzeźbiarz Matki Boskiej, wróci.

I nie doczekała.



## W P O G O D Ę.

Hej, w pogodę, w pogodę  
poszły dzieci nad wodę,  
a że ciepła jest taka,  
dalej w nią na bosaka!

To je bawi chłód miły,  
to zerwany znów kwiatek.  
Wreszcie w wodę spuścili  
piękny, nowy swój statek.

Pływa statek ten zcicha  
uwiązany na nici.  
To go wietrzyk popycha,  
to go fala pochwyci.

Z brzegu na brzeg przewożą  
listki, kwiatki, różności.  
W drodze fale mu grożą.  
Co tu śmiechu, radości!

Tu jest płytko, bezpiecznie,  
można chodzić dokoła.  
I tak bawią się grzecznie,  
aż je mama zawoła.

C. L. FALKOWSKA.





# O PIESKU ŁAKOMCZUCHU





7)

## NOWA ARKA NOEGO.

*Napisał Mieczysław Krzepkowski.*

W laboratorium chemicznym ślęczeli chemicy; przez poczekalnie ambulatorjum lekarskiego przewijało się wielu pacjentów, cierpiących szczególnie z początku z powodu jednostajnego pożywienia. Zupełnie udany samochód, zbudowany w coraz wspanialej rozwijającym się warsztacie mechanicznym, lub samolot pana Rowińskiego niejednokrotnie przewoził lekarzy do osób, które uległy wypadkom przy przewozie różnych materiałów, odnajdowanych w różnych połaciach zniszczonego kraju.

Długie miesiące zimowe zahamowały prace. W każdym razie mrozy nie zaskoczyły ludzi: kto nie miał palta, otrzymał ciepły płaszcz, tkany z włókien wodorostów. Posiadaczki futer twierdziły, że płaszcze te są brzydkie, ale kobiety, które się w nie ubierały, odpowiadały, że płaszcze „wodorostowe” są za to modne!

Znaczna grupa ludzi w okresie zimowym ograniczyła swą pracę. Byli to szczególnie południowcy, nie przyzwyczajeni do surowszego klimatu stref umiarkowanych. Jako ludzie, posiadający żywszy temperament, nie mogli usiedzieć spokojnie i zaczęły się wtedy objawy niezadowolenia. Zaczęli się oni coraz głośniejsze domagać przeniesienia się bardziej na południe i wręcz oskarżano pana Rowińskiego, że to on właśnie nastawał na zakładanie osady w miejscu lądowania, bo tu dawniej był jego kraj.

Nie było to prawdą, ale doszło do ostrego wybuchu. Niezadowoleni obwieścili, że z nastaniem wiosny zabiorą część dotychczasowego dobytku osady „Ocalenia” i udadzą się na południe, gdzie gleba jest bogatsza i łatwiej jest wyżyć. Wreszcie porzucili zupełnie pracę, twierdząc, że nie warto im trudzić się dla tych, którzy pozostaną.

Dopóki ograniczali się do zapowiedzi, kierownicy „Ocalenia” nie zwracali na nich uwagi. Kiedy jednak nie chcieli pracować, nie można było dopuścić do tego, by inni pracowali na nich. Z drugiej strony, choć niezadowolonych było mniej, domagali się oni uszanowania swych życzeń.

Nad osadą zawisła groźba rozdzielenia i niezgody. Byli tacy, którzy żądali użycia siły, by podporządkować większości „buntujących się”, przeważał jednak głos rozważli i spokoju.

Po szeregu, początkowo burzliwych zgromadzeń, zapadła uchwała, że dopóki „niezadowoleni” przebywają razem, muszą wykonywać to wszystko, co inni. Natomiast, kiedy będą opuszczali osadę, pozostali ułatwią im wyprawę na południe, jak tylko będą mogli.

W okresie namiętnych sporów „Niezadowolonych” z „Zadowolonymi” pojawiły się odrazu dwa czasopisma. Jedno i drugie było odbijane na odpowiednio przyrządzonej żelatynie, dostarczonej przez chemi-





Po szeregu burzliwych początkowo zgromadzeń, zapadła uchwała.

ków, czyli na zwykłym hektografie. Oba pisma toczyły gwałtowne spory, omawiały argumenty za pozostaniem w osadzie i za jej opuszczeniem. Nie przestały też obydwie pisma toczyć sporu mimo zapadłej uchwały i niewiadomo, jakby długo to trwało, kiedy nadeszła wiosna, a wkrótce wieść o odkryciu pokładów węgla. Ruda żelazna znaleziona była już wcześniej w wielkiej obfitości, teraz jednak dopiero odpadł najważniejszy argument „Niezadowolonych”, że w osadzie nie da się odtworzyć dawnej cywilizacji, opartej na węglu i na żelazie. Ropa naftowa znaleziona cokolwiek w dość znacznej odległości w czasie wyprawy lotniczej pana Rowińskiego z jednym z geologów — dopełniła zwycięstwa „Zadowolonych”.

Minęła wiosna, a „Niezadowoleni” jakoś nie wybierali się na południe. Drwiąco wypytywał ich o to „Głos Zadowolonych”, na co otrzymał poważną i rzeczową odpowiedź w „Opinji Niezadowolonych”: lepiej odłożyć wyprawę na później, kiedy odkrycia złóż węgla i źródeł ropy naftowej zapewnią wyprawie powodzenie i znakomicie zmniejszą jej trudny, a przede wszystkim pozwolą wyruszyć na morze „Splendidowi”.

*Dokończenie nastąpi.*



## L I S T.

Napisała Z. Gerwatowska.

Zakończenie roku szkolnego, tych długich dziesięciu miesięcy pracy i nauki, ale i wielu psot i miłych figlów.

W słonecznej sali szkolnej pani z uśmiechem rozdaje dzieciom cenzurki. Jedne całuje z zadowoleniem w główki, zachęca do dalszej wytrwałości w nauce, innym coś tłumaczy, lub pociesza je serdecznie.

Już oceny roczne rozdane. Za chwilę będzie popis, a więc śpiewy, tańce, muzyka.

Prawie wszystkie dzieci mają buzie rozjaśnione i uszczęśliwione, bo to przecież lato, wakacje, swoboda, zabawa!

W góry, w góry, miły bracie,  
tam swoboda czeka na cię!

wyspiewuje sobie Janek.

Wandzia zaś mówi do koleżanki: — Za kilka dni pojedę na wieś, do babci. Tam tak ślicznie. Będę zbierała grzyby, jagody...

Jedna tylko Małgosia usiadła w kącie na ławce i taką ma smutną minkę, taką smutną...

Zimą chorowała, opuszczała lekcje, więc cenzurka nie jest zadawalająca — to jedna przykra rzecz.

A druga — tatuś jest bezrobotny, coraz większa bieda w domu, więc dziewczynka nigdzie na wieś nie pojedzie, tylko przez całe lato musi bawić się na tem brzydkim, szarem, kamiennem podwórku, gdzie rosną tylko dwa stare kasztany, a słońca niema wcale.

Zwierzyła się wkońcu Wandzi ze swych zmartwień.

Wandzia główką pokiwała, popatrzyła, ale cóż na to poradzić? A jednak... ej, trzeba by coś obmyśleć!

Po tygodniu listonosz puka do skromnego mieszkanca. Podaje białą kopertę. To list do Małgosi.

Na adresie zupełnie, jak do dorosłej osoby: „Wielmożna Panna Małgosia...”

Dziewczynka rozrywa kopertę z ciekawością i czyta, czyta, a oczom nie wierzy...

„Kochana Małgosiu! Już nie martw się, droga koleżanko, bo i Ty pojedziesz na wieś. Moja Babcia zaprasza Cię do siebie. Będziemy razem dokazywały. Pomogę Ci także trochę w nauce. Oczekujemy Cię z niecierpliwością! Kochająca Cię

Wandzia.







Fot. Keystone.

PRACA MURZYNÓW W KAMIENIOŁOMACH.

40/41)

## TAJEMNICA HOGGARU.

Napisał L. Życki-Małachowski.

Góra zawierała pokłady złota i tylko od dalszych badań zależało, czy warto je eksploatować, czy też to się nie opłaci ze względu na zbyt nikłą ilość cennego kruszcu. Tak czy owak należało drogę przebiegać w dalszym ciągu, jednakże, żeby nie powodować niepotrzebnych strat, kazał Zadora użyć do rozbijania skał specjalnego dynamitu, który kruszył je, nie rozrzucając odłamków. Kazał też wszystkie odłamki skał, pochodzące z eksplozji, przynosić do doliny. Jednocześnie wydano telefoniczne polecenie inżynierowi Grzelakowi natychmiastowego budowania wszystkimi, stojącymi do dyspozycji siłami, drogi nadbrzeżnej w kierunku doliny.



Gdy tak praca wrzała w całej pełni, w dolinie odbywała się wzruszająca uroczystość. Oto po tylu latach rozłąki z ludźmi i cywilizacją, więźniowie gór wracali do społeczności ludzkiej i odziewali się w przyślane ubrania, aby zasiąść do wieczerzy i zjeść prawdziwego chleba. Pan Łamicki przewodniczył tej uroczystości, opowiadając o zmianach, jakie ich czekają przy powrocie do świata. O przekształcaniu się Hoggaru w kolebkę przyszłej kultury saharijskiej, o nawadnianiu dolin i osadzaniu w nich głodujących dotychczas na pustyni plemion, o budowaniu fabryk, szos i t. p.

Durand przekładał słowa inżyniera na język miejscowy, zwany „tamaszek”, to też raz po raz odzywały się okrzyki zdumienia.

Tej nocy w dolinie nikt nie spał, nie wyłączając Telesforka, który nigdy łóżkiem nie gardził, lecz wszyscy przykładali ręki do zbudowania drogi, łączącej świat zaginionych z ludźmi. Praca szła dzięki temu zapałowi pośpiesznie, zwłaszcza, że inżynier Grzelak wziął do niej ze swej strony niedawno sprowadzoną maszynę do kruszenia skał.

O godzinie szóstej rano skała uległa i zrobiony z obu stron otwór był tak duży, że mogła się przezeń przecisnąć jedna osoba. Uczynił to naturalnie Telesforek, który począł się z wylaniem ścisnąć ze wszystkimi, jakby ich lata całe nie widział. Wieść o zaginięciu chłopca już się rozniosła po osadzie i amenokal Ali przybył natychmiast na miejsce, by sprawdzić prawdziwość tych pogłosek. Polubił on chłopca bardzo, więc się ucieszył ogromnie, dowiedziawszy się, że mu się nie przytrafiło żadne nieszczęście, lecz jeszcze stał się wyswobodzicielem ofiar ponurej sekty „czcicieli wody”. Ali, dowiedziawszy się przez telefon, że żyją jego wierni towarzysze wyprawy oraz nieznanemu mu wuj, brat jego matki, o którym opowiadano mu dawniej, jako o człowieku niezmiernie mądrym i dobrym a który rzekomo miał zginąć, zbłądziwszy w pustyni, całą noc pracował, jako prosty robotnik nad budową drogi. Był też pierwszym, który powitał Telesforka przy gotowym przejściu.

Chłopiec opowiedział amenokalowi o swych przeżyciach i o znalezieniu pokładu złota. Ali słuchał wszystkiego tego ze zwykłą, pełną dobroci powagą. Jednakże wzmianka o złocie wzburzyła go ogromnie. Chwycił chłopca powtórnie w objęcie i począł całować. — Niepodległość Sahary już nie jest tylko marzeniem! — zawołał.

Przez ten czas przejście tak rozszerzono i uporządkowano, że można było swobodnie chodzić między doliną a jaskiniami.

Wkrótce wszyscy zmęczeni całonocną pracą udali się na spoczynek, jedynie Telesforek siedział jeszcze długo przy ognisku, pisząc listy do mamusi, Wandeczki i, co nie będzie bez znaczenia, do Fatmy!

*Dokończenie nastąpi.*







Fot. Photo Plat.

## BAŁTYK.

## Z CAŁEJ POLSKI.

Poniżej podajemy Wam wierszyki Adama Chętnika z myślą, że zadeklamuje je na zakończenie roku szkolnego, a każdy deklamator czy deklamatorka sporządzi sobie stosowny strój, to znaczy taki, jaki noszą w okolicy, o której będzie dana deklamacja.

## KRAKOWIACY.

Niemasz ludu nad Krakusów!  
Toć w nich życie i ochota,  
czy przy pracy, czy to w tańcu,  
a zaś serce, jak ze złota!  
A gościnność jaka wszędy,  
a w pomysłach każdy chwacki!  
Ich sukmanę wdział Kościuszko,  
stąd pochodził i Głowacki.  
Kto nie widział kierezyi,  
lub pasika z pod Proszowic?  
A wesela kto chce użyć,  
niechaj jedzie do Bronowic!  
Lubi każdy ten lud dziarski,  
bo w nim dusza szczerza taka...  
W całym kraju młodzież tańczy  
tak skoczno krakowiaka.

## W ŁOWICKIEM.

A nad Bzurą, tam gdzie Łowicz,  
żyją barwni Łowiczanie.

Tych księżaków wszędy poznasz  
po ich stroju i sukmanie.  
Lud to zdrowy, pracowity,  
i pobożny, i wesoły,  
i gazety lubi czytać,  
i zapełnia w miastach szkoły.  
Gdy chcesz poznać lud księżacki,  
bądź w Łowiczu w Boże Ciało,  
lub idź na ślub, gdy „korone”  
panna młoda ma wspaniałą.  
Przed kościołem — istne tęcze,  
lud, jak kiście z pszennych snopów.  
Nic dziwnego, że w tych wioskach  
Reymont tworzył, pisał „Chłopów”.

## TATRY I GÓRALE.

Za Krakowem mgły sinawe,  
coś się wznosi ponad chmury:  
toć to Giewont, śpiący rycerz,  
to są Tatry, nasze góry.  
Co za dziwy na Podhalu:  
wielkie skały, piękne grotty,



cud nad cuda — Morskie Oko,  
 a po drodze wodogrzmoty.  
 A na skałach limby, smreki,  
 turnie śniegiem bramowane,  
 w halach stada trzód, juhasów,  
 a w dolinie Zakopane.  
 A Górale — górscy ludzie:  
 na kark guńki, w garść ciupagi,  
 lud to bystry i rozmowny,  
 ma dość hartu i odwagi.  
 Przez dzień cały rąbie w lesie,  
 a gdy trzeba — w góry pnie się,  
 a jak zajdziesz do Morskiego,  
 to zatańczy „zbójnickiego”.

#### GÓRY ŚWIĘTOKRZYSKIE.

Piękne góry Świętokrzyskie,  
 nagie skały, jak łysiny,  
 u podnóża jest schronisko  
 w wiosce świętej Katarzyny.  
 Na wierzchołku Łysa Góra,  
 gdzie czarowne tańczą kręgi,  
 w górach klasztor Świętokrzyski,  
 co przechodził różne ciężki.  
 Wkoło lasy, pełne dziwów:  
 buki wielkie i potężne,  
 tu kryjówki były zbójców,  
 tu zdążyły hułce mężne.  
 Do klasztoru idzie pielgrzym  
 na kolanach całe lata,  
 a jak dojdzie już do celu,  
 to nastąpi koniec świata.

#### ŚLĄSK I ŚLĄZACY.

Idźmy dalej — aż nad Odrę,  
 i nie róbmy dziwnej miny:  
 ten las wielki to nie drzewa,  
 to fabryczne są kominy!  
 To Śląsk Górny, a te grzmoty —  
 to fabryczne kują młoty.  
 Wszędzie łoskot, świsty, ryki —  
 to kopalnie i fabryki.  
 Dym i ogień, jakby w piekle,  
 a syreny wyją wściekle,  
 a ci ludzie, co przy pracy,  
 to są nasi, to Ślązacy.  
 Dzielny lud to: on że sprawił,  
 że Śląsk Niemiec pozostawił,  
 że przez rany, poprzez blizny  
 do swej wrócił do ojczyzny.  
 Przez sześć wieków kraj ten wielki  
 był w niewoli — dola sroga!  
 Dziś Śląsk polski, choć nie cały,  
 część została w rękach wroga.

#### NA KUJAWACH.

Ziemia tęga a plon taki:  
 wkrąg pszenica i buraki!

Chleba, cukru tu nie zbraknie,  
 tylko lasu dusza łaknie...  
 A zajrzyjmy do Kruszwicy,  
 gdzie nad Gopłem wieża stoi,  
 gdzie Popiela myszy zjadły.  
 Tak się kończy, gdy kto broi...  
 Tutaj było Lecha gniazdo.  
 Gopłem statki żeglowały,  
 tutaj mieszkał Piast - kołodziej,  
 stąd się zerwał Orzeł Biały  
 i rozwinął swoje skrzydła  
 ponad Polską, ponad całą,  
 a już jest przez tysiąclecie,  
 naszym godłem, naszą chwałą.

#### MORZE I KASZUBI.

Šzumi wicher, pędzi fale,  
 piętrzą w górę się bałwany,  
 mkną okręty z Białym Orłem —  
 toć to Bałtyk nasz kochany!  
 Na wybrzeżu lud kaszubski,  
 tęgi rybak w każdej porze.  
 On to ustrzegł nam dziedzictwo,  
 które zwiemy „polskie morze”.  
 On to bronił polskiej mowy,  
 z Niemcem toczył bój zacięty,  
 a gdzie mowa, tam i wiara,  
 tam obyczaj polski, święty.

#### NA PODLASIU.

A za Bugiem kraj nie byle:  
 tam Podlasie i unicy,  
 co za wiarę swoją świętą  
 od Moskali byli bici!  
 Krew się lała po kościołach,  
 naród cierpiał męki srogie  
 i odetchnął, gdy precz poszły  
 knutowładcze siły wrogie.  
 Dziś tam spokój, bo nad krajem  
 już wolności błysły zorze...  
 A w kościołach odebranych  
 znów rozbrzmiewa „Święty Boże!”

#### NA KURPIACH.

A na Kurpiach już inaczej:  
 duże lasy, ciemne bory,  
 piaski, bagna, puszcze gęste  
 i do strzelby Kurpik skory.  
 W kniejach dawniej zwierzył był srogi:  
 wilki, tury i niedźwiedzie,  
 w wodach ryby, w barciach pszczoły,  
 człek nie dawał się tu biedzie.  
 A i z wrogiem nieraz walczył:  
 znali Kurpiów Ruski, Szwedy,



a Stach Konwia — wódz puszczański  
napędził im nieraz biedy.  
Pod Myszyńcem dawne stroje:  
barwne, piękne, nie dziwota!  
Co za kitle, co za czółka,  
a bursztyny, jak ze złota!  
A ochoty co w tym ludzie!  
Niech „maryna” zabrmi jaka,  
Kurp wykręca obertasa,  
lub tańcuje „powolniaka”.

#### PUSZCZA BIAŁOWIESKA.

A gdzie Narew, skąd jej źródła,  
(co na mapie krzywa kreska) —  
tam sinawe bory wielkie,  
to już puszcza Białowieska!  
Co tu drzewa, jakie dęby,  
jak olbrzymy stoją stare:  
klony, świerki, grab i sosna —  
wszystko rosło ponad miarę.  
W puszczy knieje i ostępy,  
a w nich silny, pewny siebie  
źubr brodaty, król tej puszczy,  
co racią z gniewem grzebie.  
A co dzików i jeleni!  
Jest i pałac wśród zieleni,  
co podwoje swe odsłania  
na królewskie polowania.  
Ej że, puszczo, szczerbił ciebie  
wóg niejeden poprzez lata,

a ty rośniesz niebotycznie,  
że podziwiasz cię pół świata.

#### NAD ŚWITEZIĄ.

Na północny wschód Warszawy,  
gdzie część Polski malownicza,  
nowogródzkie leżą strony,  
to zakątek Mickiewicza.  
Tutaj Świtez — cud jezioro.  
Przy księżycu nocnym blasku,  
zda się, duch tu gości Wieszcza  
w każdej kniei, w każdym lasku.  
Tu poety ojcowizna,  
tu dojrzała wielka dusza,  
tu dziecinne lata spędził  
twórca „Pana Tadeusza”.

#### NAD DNIESTREM.

Lecz jedziemy na południe,  
gdzie tak słońko świeci cudnie,  
gdzie wśród jarów Dniestr nam płynie,  
gdzie krzew winny i brzoskwinie.  
Ten kawałek Polski ciepłej,  
gdzie krajobraz w jarach dziki,  
to są kresy południowe,  
a w nich miasto — Zaleszczyki.  
Toż Pokucie i Huculi:  
lud to zdolny i wesoly:  
W polu rośnie kukurydza,  
wozy ciągną siwe woły.

Adam Chętnik.



### KIEDY NIEMA GOSPODYNI...

Kiedy niema gospodyni,  
ruch się wielki w izbie czyni.  
Dzwonią miski i garnuszki,  
cukier wyskakuje z puszeki,  
miotła się wysuwa z kąta  
i udaje, że się krząta,  
brzęczą łyżki i widelce  
ze swobody rade wielce.  
Na kominie ogień bucha,  
trzeszczy w ogniu gałąz sucha,  
a groch gotowany w zupie  
podskakuje, że aż chlupie!  
Zegar dziwną pieśń wydzwania,  
mleko wzdyma się jak bania

i przed rondlem wciąż się chwali,  
że wnet pięknie się przypali.  
Podskakuje kubek stary,  
w środku izby tańczą śmiecie  
i drygają okulary  
porzucone na gazecie!

A gdy wraca gospodyni,  
wnet się cicho w izbie czyni!  
Wszystko tłumi w sobie życie,  
każdy czmycha w swoją stronę,  
tylko na kuchennej płycie  
pachnie mleko... przypalone!

J. GILLOWA.



## GOTOWANIE.

Dzieci lubią się przecie bawić w „kuchnię”, w „gości”, w „bal” i t. d. — Czemuby więc nie spróbować, zamiast gotować „na niby” — ugotować coś naprawdę. Wiele jest potraw łatwych, które można przyrządzić tylko z wytworów przeciętnego gospodarstwa wiejskiego.

Zabierając się do gotowania, trzeba najpierw uzyskać na to pozwolenie mamusi, obiecać porządne posprzątanie zabrudzonych statków. Przystąpić do rzeczy z czystymi rękoma, w chusteczce na głowie i fartuszk.

Np. takie rabarbarum rośnie prawie w każdym ogródku, do jedzenia używa się lodyżki i grubsze nerwy liści.

1) *Zupa* — ½ kg. pokrajanych lodyg bez liści obciągnąć z wierzchniej skórki, zalać wodą i rozgotować, dodać do smaku cukru (około ¾ szklanki) i skórkę z jednej cytryny. Zaprawić kwaterką śmietany. Można jeść zarówno na zimno, jak i na ciepło.

2) *Kompot* nieoceniony w upały. ½ kg. obciągniętych i pokrojonych lodyg rabarbarum rzuca się na 2 kwarty wrzącej wody, w której rozpuszczono szklankę cukru. Gotuje się 5 minut.

3) *Sok* do wody bardzo orzeźwiający. ½ kg. rabarbarum obciągamy ze skórki, krajemy na kawałki i gotujemy w litrze wody w dodatkiem skórki cytrynowej i ⅜ kg. cukru. Następnie płyn cedzimy, zlewamy do butelek, korkujemy i wynosimy do piwnicy. Kieliszek tego soku na szklankę wody daje jej wyśmienity kwaskowaty smaczek.

M. S.



## JAK JAGUSIA CHLEB PIEKŁA.

*Rozczyniła matuś chleb z wieczora,  
postawiła koło pieca dzieżę,  
przykryła ją, jak należy...*

*A na rano matuś chora:*

*jęczy i stęka:*

*— Oj nie władam nogą, ani ręką!*

*Cóż z tym chlebem będzie, Jagienko?*

*— Ha! wezmę dzieżę na ławę*

*i zawinę rękawy,*

*chleb przyczynię, wyrobię,*

*niechże rośnie sobie!*

*Krzyżem pięknie naznaczę...*

*Niech - no matuś zobaczy!*

*Wszystko tak, jak należy.*

*Zaraz będzie chleb świeży!*

*Teraz napalę w piecu,*

*równo ułożę drewnienka,*

*na wierzch grube, pod spód cienkie...*

*Już Jaguś ogień roznieca!*

*Już z pieca żar bucha!*

*— Słuchaj-że, córuś, słuchaj,*

*węgłe równo rozgarnij*

*na calutki piekarnik,*

*potem omieść go trzeba,*

*by czyściutki był chlebek.*

*— Teraz liście klonowe,*

*o jesiennej porze*

*zbierane,*

*co je matuś chowa*

*w komorze,  
na łopacie drewnianej ułożę...*

*Jakie piękne bochenki!*

*Hej! gosposia z Jagienki!*

*Jest już chlebek gotowy:*

*czarny, świeży, razowy!*

J. MAJEWSKA.







ROBOTNICZY PRZEBIERAJĄ I WAŻĄ LIŚCIE HERBACIANE NA CEJLONIE.

## O SPOŻYWANIU OWOCÓW.

Szybkimi krokami zbliża się do nas lato, a wraz z niem obfitość owoców. Owoce są bardzo zdrowe i posilne, to też powinny być w jak największej ilości spożywane. Pamiętać jednak należy, że czasem można swemu zdrowiu, zamiast pożytku, zrobić wielką krzywdę. Pod żadnym pozorem nie należy jeść owoców, które nie są zupełnie dojrzałe. Wszelkie zgnite owoce są dla zdrowia bardzo szkodliwe. Nie należy również jeść wiśni i czereśni z pestkami, bo ich żołądek nie trawi i można się z tego nabawić choroby.

Owoce, zrywane we własnym ogródku, mogą być jedzone nie obierane i nie myte, ale wszystkie owoce kupne powinny być bezwzględnie myte w gotowanej czystej wodzie z trochę mydła i doskonale osączone. Inaczej można zjeść z wiśnią czy truskawką jakiś zarazek, który potem wywoła chorobę. Przecież owoc, nim się dostanie od właściciela ogrodu do tego, co go kupi do spożycia, przechodzi przez wiele rąk. Najpierw dotyka go ten, co go zbiera, potem go pakują, potem jedzie do hurtowni, stamtąd do sklepu — w sklepie często leży nieosłonięty i muchy mają do niego dostęp i t. d.

Jako zasadę przyjmując również trzeba, aby przed każdym jedzeniem dziecko miało ręce umyte.



## KASZA Z SOSEM.

Przecież wkońcu zrobiło się ciepło. Toć za kilka dni będą już wakacje. Myśl o lecie, o obozie radością rozpiera serca młodocianych harcerzy. Tolek, Leszek i Witold o niczem innym nie mówią. Projekty płaczą się ze wspomnieniami zeszłorocznymi. Różne przygody, różne przeżycia. Najwięcej śmiechu wzbudzają dziś, smutne wtędy, niepowodzenia gospodarcze.

— Pamiętasz — mówi Tolek, — jakieś nas karmił suchą kaszą przez kilka dni?

— A tyś nas nie raczył kartoflami trzy razy dziennie, gdy była twoja kolej gospodarowania? — odciął się koleźde Leszek.

Litanja nieudanych potraw rosła z błyskawiczną szybkością.

— Wiecie co, — zawołał Witold — powinniśmy zapobiec w tym roku tym błędom naszej kuchni obozowej.

— No pewnie — przytaknęli chłopcy, — ale jak? Kucharza nie zabierzemy z sobą.

Ot, poproszę mamusi, by nas nauczyła gotować to wszystko, co z łatwością moglibyśmy przygotowywać w naszej kuchni obozowej. Czemu jeść paskudztwa, gdy odrobiną dobrej woli możemy wypełnić luki naszej wiedzy gospodarczej? Porządny harcerz musi starać się wszystko, co musi robić — robić porządnie, a więc skoro przypada nam w udziale gotowanie, czemu nie mamy się i tego nauczyć?

Po zastanowieniu wszyscy się z Witoldem zgodzili.

Przez kilka dni z zapalem pod kierunkiem pani K. kucharowali, notowali przepisy i cieszyli się na myśl, że gdy przyjdzie ich kolej w obozowej kuchni — i na harcerski stół z darniny wyjedzie kasza z sosem koperkowym, to koleźdy zdębieją ze zdumienia.

A nie tylko kaszę z sosem koperkowym nauczą się gotować!

*J. Kostro.*

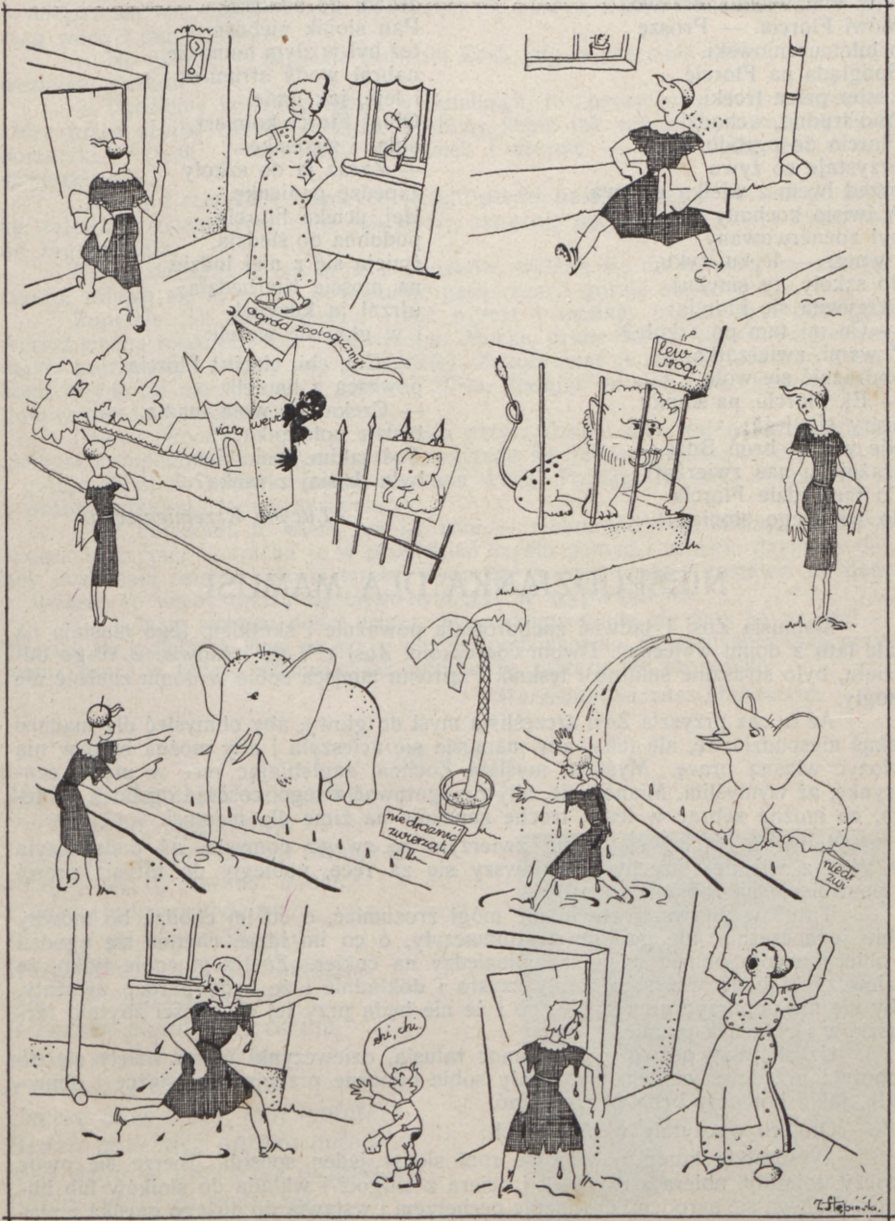
## CHI, CHI, BĘDZIECIE SIĘ ŚMIELI Z FLORCI PORANNEJ KĄPIELI.

Było to w Warszawie wiosennego ranka.  
Pachniała już w domu białych bzów wiązanka.  
Kaktusik w doniczce zakwitł kraśnym kwiatem,  
a słońce dość mocno świeciło poza tem.  
Zajrzał do pokoju promyczek wesoły:  
— Hallo, wstawaj Florciu,  
czas już iść do szkoły.  
Ubrała się Florcia w kretonowe fraczki,  
uprane przez mamę dla swej jedynaczki.  
Wzięła szkolną teczkę i żegna matczkę.

— Dowidzenia, dziecko, bądź grzeczną, kochanie. Masz tam dwie bułeczki z rzodkwią na śniadanie. Uważaj na lekcjach, nie żałuj mozołu,

to pojedziesz latem do Kaczego Dołu.  
Lecz jeszcze raz mówię mojej pannie Florci, niech ją jaka psota po drodze nie skorci.  
— Dobrze, mamusieczko, wiem już o tem sama, będę, jak aniołek, przekona się mama.  
Wyszedł nasz „aniołek” i myśli: — Dzień śliczny, warto zwiedzić ogród nasz zoologiczny.  
Drogę znam wspaniale, przejdę most Kierbedzia, zobaczę w ogrodzie słonia i niedźwiedzia.  
Zobaczę na skale orła i sokoła, bo już mi naprawdę obrzydła ta szkoła.  
Oto widać ogród, dygu, dygu w prawo,







dygu, dygu w lewo,  
 a w nim wielkie drzewo.  
 Mówi Florcia. — Proszę  
 o bilet uczniowski.  
 Spogląda na Florcię  
 kasjer pełen troski.  
 Ano trudno, wchodzi  
 Florcia do ogrodu,  
 przystaje co żywo  
 przed lwem z wielką grzywą.  
 A lwisio kochany  
 był zdenerwowany  
 i wnet: — Ryku, ryku,  
 do szkoły, ty smyku!  
 Skrzywiła się Florcia:  
 — Co mi tam po szkole?  
 Z wami, zwierzątkami  
 podrażnić się wolę.  
 — Ej, Florciu, na słupku  
 litery się jeżą:  
 Nie wolno, broń Boże,  
 drażnić u nas zwierząt!  
 Co tam, idzie Florcia  
 do wielkiego słonia:

— Zyg, zyg, pietruszeczka! —  
 drażni go zdaleczka.  
 Pan słonik nieboże  
 też był w złym humorze,  
 nabrał wody strumień  
 i leje, jak umie.  
 Oblał Florci kołnierz,  
 oblął i sukienkę.  
 — Zaraz ja do szkoły  
 zapędzę panienkę.  
 Hej, ucieka Florcia,  
 podobna do śledzia,  
 śmieją się z niej ludzie  
 na moście Kierbedzia;  
 ujrzał ją kuzynek  
 i w głos się weseli:  
 — Chi, chi, ciociu! Florcia  
 powraca z kąpeli.  
 — Czekaj — woła mama, —  
 będzie połajanka:  
 Toś takim „aniółkiem”.  
 była dzisiaj z ranka?

*Lucyna Krzemieniecka.*

## NIESPODZIANKA DLA MAMUSI.

Mamusia Zosi i Jadwisi zachorowała poważnie i skutkiem tego musiała na całe lato z domu wyjechać. Dwom córeczkom, Zosi z V-go i Jadwisi z VI-go oddziału, było strasznie smutno i tęskno. Prostu miejsca sobie w domu znaleźć nie mogły.

Aż tu raz przyszła Zosi szczęśliwa myśl do głowy, aby obmyśleć dla mamusi jakąś niespodziankę, ale taką, aby mamusia się ucieszyła i aby można było w nią włożyć własną pracę. Myślała, myślała Zochna, zagłębiając ręce w płową czuprynkę, aż wymyśliła. Mianowicie, aby przygotować z tego, co daje ogródek i z tego, co można zebrać w lesie, trochę zapasów na zimę dla mamusi.

Jadwisia, której się Zosia zwierzyła ze swego pomysłu, aż podskoczyła w górę z wielkiej uciechy i, wzięwszy się za ręce, pobiegły do tatusia prosić o pozwolenie na robienie zapasów.

Tatus w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co im chodzi, bo mówiły obie jednocześnie, ale gdy mu wytłumaczyły, o co im idzie, chętnie się zgodził i obiecał swoją pomoc w postaci pieniędzy na cukier. Zastrzegł sobie tylko, że dziewczynki będą wszystko robiły czysto i dokładnie i że będą bardzo uważały, aby się nie poparzyć przy ogniu, no i że nie będą przy tej czynności zbyt fatuszków i sukienek plamić.

Uzyskawszy pozwolenie i pomoc tatusia, dziewczynki rażno wzięły się do roboty i przedewszystkiem wyszukały sobie odnośne przepisy w książce i obmyśliły, jakie kompoty będą przyrządzać.

Oto, co wyczytały w przepisach:

„Wszystkie kompoty zimowe robi się w jeden sposób. Bierze się owoc świeży dojrzały, obiera z szypulek i ociera z wilgoci i wkłada do słoików lub butelek. Zalewa się syropem, obwiązuje pęcherzem i wstawa do dużego garnka z płaskim dnem z zimną wodą. Dno garnka i przedziały między słoikami czy butelkami wykłada się szczelnie sianem. Gotuje się, licząc od zagotowania 15 — 30 m., zależnie od gatunków owoców. Po tym terminie zestawia się garnek z ognia i słoiki wyjmuje się dopiero, gdy zupełnie przestygną. Syrop do tego przyrządza się następująco: ½ kg. cukru nalewa się dwiema szklankami wody i wygotowuje się, aż



zacznie gęstnieć — przestudzonym zalewa się owoce. Przechowywać trzeba w miejscu suchem; gdyby konserwy zaczęły się burzyć, trzeba słoik wstawić w gorącą wodę i przegotować”.

— No dobrze — zapytała Jadwisia Zosi, gdy ta przestała czytać, — a skąd weźmiesz słoików?

— Będziemy kompoty robiły w butelkach, to znaczy tylko z tych owoców, które przez szyjkę butelki przejdą. Zrobimy sobie tak wiśnie, czereśnie, maliny, porzeczki, agrest. Nazbieramy poziomek i czernic — tutaj dalej jest o tem wszystkim.

„Wiśnie i czereśnie, z których wyjęto pestki, nakłada się do butelek po szyjkę, zalewa syropem zrobionym, jak wyżej, związuje pęcherzem i gotuje kwadrans od zagotowania.

Porzeczki, obrane ostrożnie z ogonków, wkłada się do butelek, potrząsając często, zalewa się syropem, obwiązując pęcherzem i gotuje się 15 m.

Zupełnie tak samo można robić agrest i maliny, truskawki i poziomki. Agrest można również robić i bez syropu. Mocne, grube butelki napełnić agrestem, często potrząsając (wtedy więcej wejdzie). Zakorkować je dobrze, owiązać sznurkiem, aby korki nie strzelały i gotować 20 m. Podając na stół, polać kompot przegotowanym i wystudzonym syropem.

Czarne jagody mogą być dwojako przyrządzane: albo zalane w butelkach zimnym syropem, albo też bez syropu wsypuje się je do butelek, korkuje mocno i gotuje 25 m. w kociołku zalanym zimną wodą. Podając na stół, miesza się je z osobno przygotowanym syropem”.

— Z butelkami to wiem, jak się robi — rzekła Jadwisia, widząc, że Zosia skończyła czytać, — trzeba je w przeddzień czysto pomyć i ustawić dnem na dół, aby doskonale osiakiły. Korki trzeba wyparzyć gorącą wodą i zostawić na dobę w wodzie, to wtedy dadzą się łatwo włoczyć w szyjki butelek.

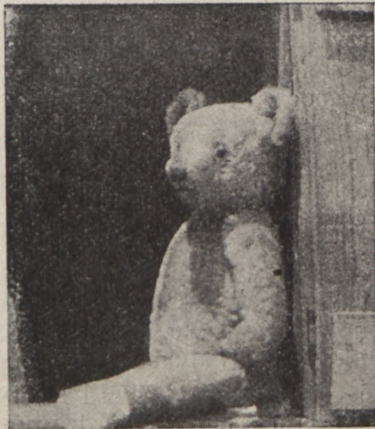
— Jednym słowem dobra nasza: niespodzianka uda się nam na pewno! — Mówiąc to, rzuciła się Zosi na szyję, aby jej podziękować, że wymyśliła taką przyjemną pracę, z której mamusia, jak przyjedzie, ucieszy się na pewno.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

## M I Ś.

Misiu, Misiu, chodź do mamy,  
trochę sobie pogadamy.  
Patrz, już rozpruł ci się brzuszek,  
strzępy wiszą zamiast uszek,  
z nogi sypią się trociny...  
Jak my na to zaradzimy?  
Wiem już! Pójdę do mamusi.  
Ona cię ratować musi!  
Brzuszek pięknie ci zceruje,  
biedne uszka zreparuje,  
a na nóżki zrobi butki.  
Chcesz mieć butki, mój malutki?  
Będzie ci w nich bardzo ładnie!  
Nikt dziur w nóżce nie odgadnie!  
Potem włożę ci fartuszek,  
żeby zakryć chory brzuszek.  
No uśmiechnij się, mój mały!  
Zaraz będziesz zdrow i cały!

J. MAJEWSKA.



No uśmiechnij się, mój mały!



## Zbliżka i zdaleka.

### NAJWYŻSZY DOM NA ŚWIECIE.

W Nowym Jorku jest obecnie w budowie dom, który będzie miał ni mniej, ni więcej, tylko 100 pięter, czyli 400 metrów wysokości. Materiału do budowy dostarczają różne kraje Ameryki i Europy. A tego materiału do budowy i wykończenia wewnątrz potrzeba będzie wiele tysięcy wagonów. Samego piaskowca na wyłożenie frontowej ściany przywieźli 400 wagonów.

Ze stali, którą na budowę zużyją, obliczyli, że możnaby zrobić jednotorową linię kolejową na przestrzeni 1400 klm. Przy budowie zajętych jest dziś 3.000 ludzi, a gdy będą dom wykańczali — 7.000!

To też tygodniowo narasta nowe 4 piętra. Dziś wybudowanych już jest z górą 60 pięter. Ile tam będzie wind! Telefonów ma być narazie założonych 4.000 aparatów, potem przypuszczają, że będzie potrzeba znacznie więcej. Koszt budowy tego kolosa obliczyli na 50 milionów dolarów, to jest niecałe 400 milionów złotych.

Przypomnijcie sobie najwyższe domy, jakie widzieliście, i obliczcie, ile razy ten olbrzym będzie wyższy. Gdyby przyszło nie jechać windą, ale wchodzić po schodach, nie każdyby w ciągu dnia doszedł do najwyższego piętra.

### SZKŁO, DAJĄCE SIĘ PIŁOWAĆ I HEBLOWAĆ.

Wiecie to dobrze, że szkło jest bardzo łamliwe. Każdy lub każda z Was przekonał się o tem zapewne nie jeden raz, kiedy to pomagał mamusi nieść do kredensu kieliszki lub szklanki. Jeden nierozważny krok, jedno potrącenie łokciem o stół, a tu — bęc, kieliszki, szklanki, talerzyki walą się na podłogę i pozostają tylko drobniutkie kawałki. A ile łez się wtedy wylało! Widocznie wynalazcy postanowili przyjść Wam z pomocą, bo oto dwaj chemicy angielscy sporządzili nowy rodzaj szkła przezroczystego, które można piłować i heblować! Co jednak najważniejsze, nowe szkło nie jest tak łamliwe, jak zwykle i z tego powodu jest znacznie praktyczniejsze. Prawda, że to bardzo pomysłowy wynalazek?

### NIE TAK, JAK U NAS.

Nakład wszystkich pism w Stanach Zjednoczonych wynosi 120 milionów, to jest tyle, ile jest ludności, z tego dzienników 40 milionów a 80 milionów perjodyków, to jest pism, wychodzących rzadziej, niż codziennie. Zróbcie sobie sami proporcje nakładów do cyfry ludności.

U nas bardzo, bardzo do takiej proporcji daleko. Miejmy nadzieję, że jak Wy dorośnięcie, stosunek ten się poprawi — będziemy więcej czytali!





CHATA BRAZYLIJSKA.

## WŁAŚCIWOŚCI TORFU.

Uczeni zbadali, że w torfowiskach znakomicie można przechowywać różne przedmioty, które nieraz mogą w ten sposób przetrwać kilka wieków, nie ulegając rozkładowi. Przed rokiem znaleziono w Szkocji pod torfowiskami baryłkę, wydrążoną z pniaka drzewnego i zawierającą masło. Wyrób baryłki świadczy, iż pochodzi ona z przed kilkuset lat, masło w ciągu stuleci zamieniło się w twardą tłustą masę o zjełczałym zapachu.

Przy wydobywaniu torfu w Niemczech, Norwegii i Szwecji niejednokrotnie znajdowano ukryte głęboko rozmaite przedmioty z drzewa, skóry, a nawet i wełny, pochodzące, jak np. sandały skórzane żołnierzy legionów rzymskich, z przed wielu, wielu wieków.

Żeglarze w dawnych czasach podczas swych wypraw woleli zaopatrzyć się w wodę z torfowisk, która, choć brunatna i o niemiłej woni i smaku, mniej była zdradliwa od pozornie czystej wody rzek i jezior.

## CHIŃSKIE CEREMONJE.

Chińczyk nigdy w towarzystwie nie usiądzie pierwszy. (Mam nadzieję, że i Wy także?). Z wyszukaną uprzejmością, po wypowiedzeniu szeregu kwiecistych słów, zaproponuje gościowi, by „raczył ulokować swoje szlachetne członki za stołem niegodnego zaszczytu gospodarza”.



### WALKA ORŁA Z SAMOLOTEM.

Poraz drugi w Indiach miała miejsce katastrofa lotnicza naskutek ataku orła. Na pilota, prowadzącego trzymotorowy samolot rumuńskiego księcia Bibesen, prezesa Międzynarodowego Związku Lotniczego, w pobliżu miejscowości Abhabad napadł wielki orzeł. Pilot, broniąc się, stracił panowanie nad sterem i samolot, spadając gwałtownie, odłączył się od ptaka. Ale orzeł nie dał za wygraną i zaatakował powtórnie, ale tak dla siebie i samolotu nieszczęśliwie, że dostał się między śmigło. Śmigło zmiażdżyło orła, ale i samo się roztrzaskało. Lotnik lądował, ale samolot na ziemi stanął do góry ogonem, wywołało to wybuch benzyny. Księżę Bibesen i trzech jego towarzysze ponieśli ciężkie uszkodzenie ciała. Samolot spłonął.

### DOMY PIĘTROWE W ZIEMI.

Jak wiadomo, Japonja pobudowała za przykładem Ameryki liczne drapacze chmur. Niestety, domy te runęły podczas wielkiego trzęsienia ziemi (1923 roku). Przy wykopywaniu gruzów stwierdzono, że prawie wszystkie piwnice pozostały nienaruszone i na tej podstawie wysnuli japońscy inżynierowie następujący wniosek: „Ażeby w przyszłości ustrzec się od nieszczęść, wynikających z trzęsienia ziemi (katastrofy te nawiedzają Japonję bardzo często), należy domy budować niskie a piętra umieszczać poniżej t. j. pod ziemią”. Zaczęto budować domy w głąb. Obecnie w Tokio pobudowano już pewną ilość takich domów, niektóre z nich posiadają do 30 pięter w ziemi, nad ziemią dochodzi budynek do I piętra. Domy podziemne buduje się w kształcie czworoboku, w środku znajduje się pionowy korytarz, jak gdyby olbrzymia studnia. Tam poruszają się windy. Powietrze pompują do środka maszyny, światło słoneczne doprowadza się w głąb przy pomocy całego szeregu zwierciadeł, ustawianych pod odpowiednim kątem. Są to t. zw. periskopy. Prócz tego są tam liczne lampy kwarcowe, zastępujące światło sztuczne. Wszędzie jest jasno, jak na górze. Japończycy są ze swych „drapaczy ziemi” dumni i wierzą w to, że w czasie ponownego trzęsienia ziemi budowle te pozostaną nietknięte.

### KOT I MYSZY.

Kotki lubią zjadać myszki, choć nie gardzą poza tem i słoninką lub kielbaską z mamusinej spiżarki. Wszyscy to wiemy i uważamy kota za urodzonego wroga myszy i szczurów. Wręcz odmiennego zdania jest chiński uczony Zing Yang Kuo, który przeprowadził szereg ciekawych doświadczeń z kotami i myszami. Zing Yang Kuo postanowił stwierdzić, jaki wpływ na instynkt myszobójczy kotów mają metody „wychowawcze”. W tym celu chiński profesor wychowywał młode kotki razem z młodemi myszkami. Wynikiem tej metody wychowawczej było, iż koty nigdy się nie rzucały na szczury i myszy. Inna grupa młodych kotów została przyzwyczajona do jarskiego pożywienia. Po trzech lub czterech miesiącach koty te wypuszczone na wolność zabijały myszy i szczury, lecz ich nie zjadały.



## DO JAKIEJ PÓJŚC SZKOŁY?

Staraniem redakcji „Płomyka” wyszły dwie duże tablice z adresami szkół średnich ogólnokształcących i zawodowych, mieszczących się w Warszawie i częściowo na prowincji. Na jednej z tablic można znaleźć adresy i informacje, dotyczące szkół męskich, na drugiej — żeńskich.

Tablice zawierają wykazy wszystkich szkół średnich, zawodowych i ogólnokształcących w obrębie m. st. Warszawy. Ze szkół zamiejscowych zostały podane tylko takie typy szkół, których Warszawa nie posiada wcale, lub też poziom ich i wymagania są inne, niż w odpowiednich szkołach w stolicy. Podane tu są przede wszystkim te szkoły i kursy zawodowe, do których młodzież ma wstęp bezpośrednio po ukończeniu szkoły powszechnej, oraz szkoły zawodowe typu wyższego, wymagające ukończenia 6 klas szkoły średniej ogólnokształcącej. Charakter i cel każdego typu szkoły są omówione przy poszczególnych działach, a przy każdej szkole podane są tylko szczegółowe informacje co do warunków przyjęcia, czasu trwania nauki, wysokości opłat szkolnych i t. p.

Cena każdej tablicy 1 zł. 50 gr., obu razem 2 zł. 50 gr.

## KOKOSZKA, KOKOSZKA JAGIEŁKI WARZYŁA...

*Kokoszka, kokoszka jagielki warzyła...  
Nanosila krupek w dziobku, w wodzie  
namoczyła.*

*Z początku  
dała spróbować jednemu kurczątku:  
— Popróbuj, kurczątko, popróbuj  
kochane,  
czy jagielki smaczne, czy dogotowane?  
Jedz, koguciku, syneczku,  
na półmieseczku.*

*Potem dała córeczce - kureczce  
w filiżaneczce.  
Potem kurczątko z czubkiem  
próbowało małym kubkiem,  
a inny kogucik, kawał łobuza, wesółka,  
próbował wprost z kociołka,  
a najmniejszy, malusieńki puszysty  
i płowy  
jadł jagielki na zielonym listku  
kalinowym...*

H. JANUSZEWSKA.



W NASZEM MORZU.



## Dział rozrywek.

### REBUS.



### ROZWIĄZANIA.

Z Nr. 36 — Rebus 1: Stoi ulan na pikiecie; Rebus 2: Ekierka; Zagadka: Pieniądz; Szarada: Sierota.

Z Nr. 37 — Rebus: Po burzliwych wodach okręt płynie; Zagadka 1: Kokosy; Zagadka 2: Wierzby; Prosty rachunek: jedno z rozwiązań: 9, 3 i 6.

Z Nr. 38 — Rebus 1: Koszule; Rebus 2: Wąwóz; Zagadka 1: Miód; Zagadka 2: Serce; Zagadka 3: Z-er-o; Szarada: Pułapka.

### KALENDARZYK PRZYJACIOŁ ROŚLIN.

#### CZERWIEC.

Pleć chwasty, niszczyć owady, ich jajka i gąsienice. 13 czerwca jest ostatecznym terminem wysadzania. Kapustę — sałatę i rzodkiewkę można siać do sierpnia, co dwa tygodnie, aby była stale młoda.

Drzewa, bardzo obciążone owocami, podpierać drągami. Wszelkie pędy, ukazujące się od korzenia i poniżej miejsca szczypienia (wilki), wycinać bardzo ostrym nożem. Po każdorazowym ulewnym deszczu spulchniać ziemię i wogóle nie żałować motyki. Okopywać kapustę, kartofle, kukurydzę i t. d.

Na opróżnionych grządkach po rozsadach, wysiewać szpinak i rzodkiew.

Kwiatki pokojowe chronić od zbytniego słońca — pilnować, aby były paliki dobrze poprzywiązywane. Ziemię zarówno w doniczkach, jak i w skrzyneczkach spulchniać ostrym patyczkiem.

M. S.

### HALLO! TU RADJO DO WAS MÓWI!

Dzisiejszą (7.VI. g. 15.35) audycję dla dzieci młodszych rozpocznie bardzo wesołe opowiadanie p. t. „Hau - hau — miau - miau”. Wujaszek Jaś, który wygłosi to opowiadanie, umie doskonale udawać głosy psa, kota i wielu innych zwierząt. Domyślcie się więc, że audycja będzie naprawdę wesoła. Zakończy program radjowa „Skrzyneczka pocztowa”, która, wobec zbliżających się wakacyj, pożegna swoje radjostuchaczka i zacznie korzystać z letniego urlopu.

Nadawanie czwartkowych poranków muzycznych oraz „audycyj szkolnych” ze Lwowa ulegnie na okres letni dłuższej przerwie. W sobotę (10. VI. g. 15.35) zostanie powtórzone śliczne słuchowisko, nadane przed dwoma laty p. t. „Narodziny Świłlika”. Słuchowisko urozmaicią liczne piosenki i muzyka.

Wreszcie program niedzielny (11.VI. g. 16.30) dla starszej młodzieży zawierać będzie stały radjotygodnik „Co się dzieje na świecie” i słuchowisko p. t. „Książki — książki...”. Słuchowisko to pragnie rozbudzić zainteresowanie dżiatwy i młodzieży do książki oraz poprzeć akcję Komitetu niesienia Pomocy Towarzystwu Bibliotek Publicznych w Warszawie.

Prosimy o wniesienie zaległej prenumeraty bezwarunkowo przed d. 15 czerwca r. b.



## WYDAWNICTWA „PŁOMYKA” I „PŁOMYCZKA”.

### KONTURY MAPEK.

Mapka Polski, mapka Europy, półkula wschodnia, półkula zachodnia.

Cena każdej z czterech mapek groszy 15. Przy zamówieniach większej

ilości mapek szkoły otrzymują 10% rabatu i nie ponoszą kosztów przesyłki.

### WYDAWNICTWA KSIĄŻKOWE DLA MŁODSZYCH DZIECI.

„Kolorowe obrazki” z wierszykami . . . . .	4.80
. . . . . dla prenumeratorów	3.80
A. Bogusławski. Jak kaczonek-kwaczonek przez Gdańsk do Gdyni popłynął . . . . .	—80
. . . . . w oprawie	1.20
L. Krzemieniecka. Nad morzem . . . . .	1.20
J. Porazińska. O Franusiu z Pogwizdowa . . . . .	1.—
. . . . . Wydanie wytworne w oprawie	2.50

### WYDAWNICTWA KSIĄŻKOWE DLA STARSZYCH DZIECI.

K. Konarski. Opowieści słoneczne . . . . .	1.20
. . . . . w oprawie	1.80
J. Porazińska. Baba Jaga. Baśń uscienizowana . . . . .	—60
„Z całego świata”, 117 zdjęć fotograficznych. Wydanie dwustronne	1.20
. . . . . Wydanie jednostronne na lepszym papierze	2.50
Przesyłka wymienionych książek wynosi po 25 groszy od sztuki, oprócz „Kolorowych obrazków”, których przesyłka wynosi 60 gr.	

### ROCZNIKI „PŁOMYKA”.

Rocznik oprawny z roku 1925/26 i 1926/27 po 7.50, przesyłka po 80 gr. od rocznika.	
Roczniki oprawne z roku 1927/28, 28/29, 29/30, 30/31 i 31/32 cena po 11 zł. każdy rocznik; koszta przesyłki po 1.20.	
Rocznik nieoprawny „Płomyka” z roku 1930/31 i 1931/32 po zł. 8.00; prze- syłka po 1.20 od rocznika.	

### ROCZNIKI „PŁOMYCZKA”.

Rocznik oprawny „Płomyczka” z roku 1927/28 cena 6.50, przesyłka 60 gr.	
Roczniki oprawne z roku 28/29, 29/30, 30/31 i 31/32 po 8.00. Koszta prze- syłki po 60 gr.	
Rocznik nieoprawny „Płomyczka” z r. 1931/32 zł. 6.—, przesyłka 60 gr. Od cen roczników „Płomyka” i „Płomyczka” prenumeratorzy otrzy- mują 20% zniżki.	

### OKŁADKI DO ROCZNIKÓW „PŁOMYKA” I „PŁOMYCZKA”.

Okładki z lat ubiegłych, po dwie do rocznika „Płomyka” — cena zł. 2.00, z przesyłką 2.50.	
Okładki do roczników „Płomyczka” po zł. 1.00, z przesyłką 1.20.	
Zamówienia skutecznic i pieniądze przestać można blankietem P. K. O. Nr. konta 6880.	

### WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33.

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkim”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.  
Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA” Warszawa, Sienna 15.





Z ulubioną kurką